Nr. 4
22-I 1927

ŚWIAT










Zabawy na śniegu w „Agrikoli" warszawskiej. Saneczkowanie FOT. J. MALARSKI

CENA NINIEJSZEGO NUMERU 1 ZŁ. 20 GR.

ROK XXII

ŚWIAT

№ 4

WARSZAWA, DNIA 22-go STYCZNIA 1927 ROKU

Wydawcy: Akc. Tow. Wydawnicze „ŚWIAT". Pod kierownictwem naczelnem STEFANA KRZYWOSZEWSKIEGO

Płochość a powaga

(Na marginesie polskiego wydania „Ducha Praw")

Dyskusje i komentarze, wywołane pojawieniem się po polsku dzieła Monteskjusza, świadczą, że przyszło ono w dobrą porę. W istocie, oddawna może Monteskjusz nie był bardziej na czasie, niż dziś, gdy wszelkie pojęcia, tak polityczno - prawne, jak i obyczajowe, podlegają nietylko teoretycznej ale i praktycznej rewizji, gdy dyskusja nad niemi zaczyna się niejako od podstaw. Kwestje, które kilkanaście lat temu zdawały się ostatecznie przesądzone i tysiące związanych z niemi zagadnień, wszystko to stało się jakże palącą aktualnością. Monteskjusz, ten najinteligentniejszy i najmilszy w obcowaniu komentator ducha wszelkich praw, ma znowu wszelkie szanse, aby się stać brewiarzem każdego myślącego człowieka.

Ale nie o tem chciałem mówić. Tem zajmą się z pewnością inni, bardziej powołani odemnie. Ja chciałem zwrócić uwagę na samą fizjognomję autora, na pewne jej rysy, które sprawiają, że ten Monteskjusz, którego niejeden skłonny jest (i słusznie) wyobrażać sobie jako kwintesencję uczoności i powagi, jest zarazem pełnym wdzięku wykwitem tego jedynego w swoim rodzaju XVIII wieku, ze wszystkiemi jego cechami.

Zanim stał się twórcą *Ducha Praw*, był autorem *Listów Perskich* (1721). W tych bezimiennie ogłoszonych „listach", które Paryż rozchwytał w czterech wydaniach i czterech nieuprawnionych przedrukach w ciągu roku, mieszczą się już zasadnicze rysy politycznej myśli Monteskjusza; ten i ów z „listów" zawiera w zarodku niejedną księgę Ducha Praw. Ale forma, w jaką przyodział tę rewolucyjną książeczkę, jakże jest znamienna dla epoki! Jak czuć w niej wszechwładzę kobiety, do której przedewszystkiem autor pragnął trafić, której salon zaczynał być w owym czasie potężną instytucją. Polityka, ekonomja, obyczaje, religja, wszystko to oświetlone w błyskotliwych i krótkich rzutach, spowite w zmysłowy egzotyzm haremowych dramatów, przeplatane historyjkami więcej, niż drastycznemi.

Niema co ukrywać: późniejszy autor *Ducha Praw* wszedł w literaturę skandalem. Gorszono się, ale czytano. Gorszono się podwójnie, ze względu na stanowisko autora: prezydent sądu!

— „Są to, powiadał p. d'Argenson, rzeczy, które inteligentnemu człowiekowi mogą przyjść do głowy, ale na których drukowanie człowiek stateczny nie powinien sobie pozwolić". Doprowadzono Montesquieu'go do tego, że nie przyznawał się do swojej książeczki. „Mam tę chorobę (powiadał), że piszę książki, i że wstydzę się ich, skoro je napisałem".

Po *Listach Perskich* trzydziestoparoletni ich autor stał się jedną z najmodniejszych osobistości w Paryżu, dokąd z czasem się przeniósł, rzuciwszy godność dygnitarza sądowego, aby się całkowicie poświęcić myśli i nauce. Nie znaczy to, aby pogardzał i tryumfami na innem polu, które mu rów-

nież otworzyła jego sława. W salonach pani du Tencin, pani de Lambert, pani du Deffant niejedna piękność okazała się wrażliwą na fizyczne powaby tej czystej inteligencji. Podobny w tem swemu wielkiemu poprzednikowi, Montaigne'owi, nie oddawał się Montesquieu kobiecie, ale udzielał się jej chętnie: „Miałem, powiada aforystycznie sam o sobie, w młodości to szczęście, aby się przywiązać do paru kobiet, o których sądziłem, że mnie kochają: z chwilą gdy przestawałem w to wierzyć, oddalałem się rychło".

Olśniony wdziękami księżniczki krwi, panny de Clermont, marząc może o pozyskaniu jej serca, pisze Montesquieu na jej cześć poemacik prozą p. t. *Świątynia w Knidos*, rzekomo przełożony z greckiego. Madrygał ten wyróżnia się z pośród sztucznych kwiatów tego rodzaju świeżością, jaką dawało pisarzowi jego żywe poczucie starożytności i poufała znajomość greckich autorów.

„Czasami ona mi mówi, ściskając mnie: Jesteś smutny. — Prawda, odpowiadam, ale smutek kochanków jest pełen rozkoszy; czuję, jak płyną moje łzy, i nie wiem czemu, bo ty mnie kochasz; nie mam powodu do skargi, a skarżę się. Nie wyrywaj mnie z omdlenia, w którem tonę, pozwól mi wzdychać wraz ze smutku i z lubości. Wśród upojeń miłosnych dusza moja zbyt jest niespokojna; rwie się ku szczęściu, nie sycąc się niem: podczas gdy teraz poję się nawet moim smutkiem. Nie ocieraj moich łez: cóż znaczy, że płaczę, skoro jestem szczęśliwy?"

Świątynia w Knidos wyszła w 1825 również bezimiennie i stała się nowym tryumfem ex-prezydenta. Ksiądz Voisenon mówi, że „jego poemacik przyniósł Montesquieu'mu wiele zdobyczy, pod warunkiem, że zostaną w ukryciu". Wybrano go do Akademji; ale był autorem skandalicznych *Listów Perskich:* król nie podpisał dekretu, pod pozorem, że Montesquieu nie mieszka w Paryżu. Został akademikiem aż w parę lat później.

Potem Montesquieu milknie na długo. Pracuje nad *Duchem Praw*. Jest to owoc dwudziestu lat pracy, kilkoletnich podróży po Europie, ogromu lektury i myśli.

Błyskotliwy autor *Listów Perskich*, dworny i czuły śpiewak *Świątyni w Knidos*, staje się, pochłonięty swoim wspaniałym przedmiotem, najwytrwalszym z pracowników. Po ukończeniu rozdziału o prawach feudalnych, Montesquieu pisze do przyjaciela: „Myślałem, że skonam w ciągu tych trzech miesięcy, aby skończyć księgę O pochodzeniu i przeobrażeniach naszych praw cywilnych. To zajmie trzy godziny lektury, a upewniam cię, iż kosztowało mnie tyle pracy, że włosy pobielały mi od tego". Mimo to, ileż starań, aby zasłonić tę pracę, aby się jej nie odczuwało czytając dzieło; ileż dbałości o lekkość formy w aforystycznem i jasnem ujęciu przedmiotu, w podziale na krótkie rozdziały, opatrzone przejrzystemi tytułami! Bo w owym XVIII wieku nie było tak poważnej, tak uczonej książki, któraby nie dbała o to, aby się mogła znaleźć między puszkami z pudrem a różem na gotowalni pięknej pani. Dla nich ta przejrzystość i lekkość, która tak cechuje literaturę owego wieku; dla nich ta kokieterja, aby najtrudniejszy, najsuchszy napozór przedmiot uczynić dostępnym i miłym. Montesquieu prowadzi nas tu w gąszczu myśli, niby po strzyżonym ogrodzie, wśród klombów i ścieżek. Boi się zmęczyć, znudzić, raz po raz pozwala spocząć, zaczerpnąć oddechu.



Montesquieu, autor „Ducha Praw"

Kto wie, może z myślą o zjednaniu tych miłych a potężnych dla reputacji autora czytelniczek, stara się Montesquieu od czasu do czasu urozmaicić swoje dysertacje jakimś szczegółem zdolnym specjalnie zainteresować tę część audytorjum. Tu i ówdzie w szczegółach o narodach wschodnich przypomina się autor *Listów Perskich*. Brali mu to za złe jego krytycy. Autor pięknej monografji o Monteskjuszu, Albert Sorel, nie może mu darować rozdziału *O pogwałceniu wstydu w karaniu zbrodni*. „Możnaby dodać: i w *Duchu Praw*", powiada Sorel, może zbyt surowo.

Wszędzie czuć wiek XVIII. Poważny rozdział o małżeństwie i rozmnażaniu się ludzkości (tom II) opatruje Montesquieu mottem z Lukrecjusza:

O Wenus! O matko Miłości!
. . . .
Ledwie twa moc obudzi pierwsze brzaski /wiosny,
Zefiry ślą dokoła swój oddech miłosny;
Ziemia w tysiączne barwy stroi swoje /łono,
A słodkie aromaty kwiatów wszędy wioną.
Słychać ptaszęta, w serce rażone twą /mocą,
Jak lubieżnemi tony na twą cześć /świegocą;
Za piękną jałóweczką widać byczki /młode,
Jak skaczą po pastwiskach lub spieszą /przez wodę;
A mieszkańcy gór, równin, borów /niezgłębionych,
I rzek, i mórz bezkresnych i wiosek /zielonych,
Płonący na twój widok żądzą i miłością,
Chcą się mnożyć, znęceni bezmierną /lubością:
Tak słodko iść za tobą, co władnąc /szczęśliwie,
Blaski piękności dajesz wszystkiemu co /żywie...

Ale jeden zwłaszcza jest rys w tym *Duchu praw* szczególnie uroczy. Monteskjusz jest w połowie swego dzieła, skończył jego część polityczną, ma przejść do części ekonomicznej, o handlu, o żegludze, etc. Czuje się zmęczony, przeraża go praca, wysiłek, które go jeszcze czekają. I oto przed rozdziałem *O handlu* — temat, zdawałoby się, najsuchszy, jaki być może — wyrywa mu się z piersi następujące „Wezwanie do muz":

„Dziewice z góry pierejskiej, czy słyszycie imię, które wam daję? Wspierajcie mnie. Przebiegam długą drogę; przygnieciony jestem smutkiem i nudą. Wlejcie w mój umysł ów czar i ową słodycz, którą czułem niegdyś, a która ucieka daleko odemnie. Nigdy nie jesteście równie boskie, a kiedy wiedziecie do mądrości, do prawdy przez rozkosz.

„Ale, jeżeli nie chcecie złagodzić surowości moich prac, ukryjcie samą pracę; sprawcie, abym niósł naukę, a nie uczył; iżbym myślał,

a iżby się zdawało, że czuję; i kiedy będę oznajmiał rzeczy nowe, sprawcie, by sądzono, że ja nie widziałem nic, a wyście mi powiedziały wszystko.

„Kiedy wody waszego źródła wypływają z umiłowanej wam skały, nie wzbijają się w górę, aby opadać: płyną; dają wam rozkosz, ponieważ dają rozkosz pasterzom.

„Muzy urocze, jeżeli obrócicie na mnie jedno swoje spojrzenie, cały świat będzie czytał moje dzieło; i to, co nie może być zabawą, będzie przyjemnością.

„Boskie Muzy, czuję, że wy mi szeptacie nie to, co śpiewano w Tempe na fletniach, ani to, co powtarzano w Delos na lirze; chcecie, bym mówił do rozumu; jest to najdoskonalszy, najszlachetniejszy i najrozkoszniejszy z naszych zmysłów".

Tak przemawia Monteskjusz do Muz.

„Iżbym *myślał*, a iżby się zdawało, że czuję..." Jakież głębokie poczucie znaczenia inspiracji w najbardziej naukowym, najściślejszym przedmiocie. To *Wezwanie do muz*, po którem najspokojniej tą samą ręką kreśli Montesquieu nagłówek: *Rozdział I, O handlu*, pachnie w istocie rozkosznie wiekiem osiemnastym!

Ale niemniej zabawna jest historja tego wezwania. Nie znalazło ono łaski w oczach imć Jakóba Vernet z Genewy, który miał poruczoną ważną funkcję korekty z *Ducha praw*. Vernet uznał, że inwokacja ta nie byłaby na miejscu i namówił autora, aby ją usunął. Biedny autor bronił się nieśmiało; sumituje się przed swoim korektorem:

„Co się tyczy Wezwania do Muz, ma ono przeciw sobie to, że jest rzeczą osobliwą w takiem dziele i że tego nie bywało; ale, kiedy rzecz osobliwa jest dobra, nie należy jej odrzucać dla osobliwości, która sama przez się przyczynia się do powodzenia; niema zaś dzieła, w którem bardziej by trzeba starać się rozerwać czytelnika, niż w tem oto, z przyczyny długości i ciężkości przedmiotu".

Mimo to, Montesquieu zdecydował się posłuchać swego mentora i napisał doń w kilka dni później:

„Wahałem się w przedmiocie Inwokacji między jednym z moich przyjaciół, który chciał ją zostawić, a panem, który chciałeś ją usunąć. Przychylam się do pańskiego zdania, i to bardzo stanowczo, i proszę jej nie dawać".

W istocie *Wezwanie do Muz* nie ukazało się, i niema go w większości wydań. Dopiero znacznie później wydawca francuski zdecydował się przywrócić je. „Niech nam będzie wybaczone (pisze), że zostaliśmy wierni pierwszemu uczuciu Monteskjusza. Nigdy nie zrozumie ducha tego wielkiego człowieka, kto zechce oddzielić autora *Ducha Praw* od autora *Listów Perskich* i *Świątyni w Knidos*".

Podzielam to zdanie francuskiego wydawcy. I dlatego skreśliłem na marginesie polskiego wydania *Ducha Praw* ten szkic o jego autorze, nieodrodnym synu XVIII wieku, owego wieku, który na biurko pięknych pań, między puzderko z muszkami a modną piosenkę, podrzucił parę książek, ważkich treścią, a lekkich formą, które stworzyły największą w dziejach ludzkości Rewolucję.

Boy-Żeleński

Bogactwa Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej

Znany publicysta francuski, p. Jacques Deval, odbył podróż do Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej celem zbadania tamtejszych stosunków po wojnie. Obecnie na szpaltach paryskiego „Journal'u" zdaje sprawę ze swych studjów. Pewne ich szczegóły są wysoce interesujące.

Wojna światowa podniosła bogactwo Stanów Zjednoczonych w sposób niebywały. W r. 1926 majątek ogólny Stanów obliczony był na 400 miljardów dolarów, czyli wynosił 40% powszechnego majątku światowego! Każdy obywatel amerykański oceniony jest — przeciętnie — na 2½ tysiąca dolarów. Pomimo, że Ameryka Północna jest ojczyzną miljarderów, rozdział majątku jest tam szerszy, niż np. w Anglji, gdzie z bogactwem lordów i wielkich przemysłowców sąsiaduje okropna nędza całych wielkich dzielnic Londynu. Złoto angielskie jest jak śnieg w górach: trzyma się szczytów. W Ameryce, twierdzi p. Deval, nie spotyka się wcale nędzarzy. Nawet pracownicy niższej kategorji, jak sprzedawcy gazet lub czyściciele butów, zarabiają dostatecznie i wydają się zadowoleni ze swego losu. Żebraków niema wcale. Zakłady dobroczynne rozporządzają bardzo znacznemi środkami, już to z funduszów publicznych, już z darowizn i składek prywatnych. W duszy amerykanina, — chciwego na zysk, bezwzględnego w interesach — tkwi przyrodzone, szczere uczucie miłosierdzia, humanitarności. Jest zdolny do wzruszeń, choć ta zdolność wyraża się dość swoiście. Oto przykład. Młoda kobieta, nie mogąc wyżywić dziecka, podrzuca niemowlę. Chwytają ją, oddana zostaje pod sąd. Sprawa staje się głośną, dzienniki zamieściły fotografję oskarżonej. W ciągu kilku dni nieszczęśliwa matka dostaje w więzieniu kilkanaście listów od rodzin, które proponują jej wzięcie dziecka na wychowanie. Paru kawalerów zgłasza gotowość poślubienia jej, jeśli przyrzeknie poprawę obyczajów...

Czemu zawdzięcza Ameryka swoje bogactwa?

P. Deval odpowiada:

— Dwie są główne przyczyny. Zamiłowanie mieszkańców do pracy, wytrwałość, umiejętność pracy. Niespożyte zasoby naturalne kraju, t. j. obfitość surowców wszelkiego rodzaju.

— Jest jednak i trzecia, dodatkowa przyczyna, twierdzi p. Deval, to rozwój kredytu, rozpowszechnienie kredytu na najszersze warstwy. W Ameryce wszystko się kupuje na kredyt. Każdy obywatel jest obciążony ratami, które tygodniowo lub miesięcznie musi spłacać. Aby podołać tym zobowiązaniom, zmuszony jest pracować bez przerwy, unikać zatargów, strajków.

Stany Zjednoczone pod względem ilości mieszkańców stanowią 8% ogólnej ludności świata.

Posiadają 40% ogólnego majątku światowego.

Ten majątek, to najskuteczniejsze narzędzie imperjalizmu amerykańskiego. Nie flota, nie armja, lecz dolar zdobywa świat. Dług wojenny Europy Stanom Zjednoczonym wynosi 11 miljardów dolarów. Banki amerykańskie ulokowały prócz tego w przedsiębiorstwach finansowych i przemysłowych Europy 13 miljardów dolarów. To zadłużenie Europy wzmaga się z każdym rokiem. Coby się stało, gdyby pewnego dnia Ameryka wymówiła kredyt? Europa musiałaby ogłosić niewypłacalność.

O.

TRAGEDJA POWSTANIA LISTOPADOWEGO

Powieść St. Szpotańskiego p. t. „Bez słońca"

Tragedja powstania listopadowego w dziejach naszego narodu jest pouczającą i wstrząsającą kartą. Wielokrotnie Nike z pod Grochowa uśmiechała się naszym marzeniom o wyjarzmieniu, a nie było człowieka, któryby chciał i umiał decyzję swoją narzucić chwiejnym wodzom i rozgadanemu sejmowi. Zawiódł Chłopicki, nie był wodzem Skrzynecki, nie posiadał dostatecznego autorytetu Prądzyński. Wszystkie okoliczności składają się jakgdyby pomyślnie dla naszych planów, a nikt nie waży się na czyn stanowczy. Wysocki zaczyna powstanie z garścią podchorążych; osiąga cel, bo moskale uchodzą z Warszawy; sprawa naszych uprawnień narodowych jest wobec Europy znów na porządku dziennym. Powstanie kończy się klęską, choć stoi pod bronią kilkadziesiąt tysięcy żołnierza. Małoduszność przesłania oczy dzielnym. Hypnoza wielkiej Moskwy trzyma w szachu wszelkie śmielsze poczynania.

Kalejdoskop tych smutnych, wstrząsających wydarzeń rozsnuł w swojej opowieści pt. „Bez słońca" Stanisław Szpotański. Zna on materjał historyczny źródłowo, wyczerpująco. Zmierzył wartość moralną, intellektualną i psychiczną głównych działających postaci z tych czasów. Każde posunięcie militarne czy polityczne w procesie stawania się tragedji tego powstania obserwuje od strony tej specyficznej psychologji, która mimo wojny z Rosją nieustannie szukała jakichś sprytnych sposobów likwidacji „bez ujmy dla honoru". Zaczarowany ten krąg objął przedewszystkiem dusze generalicji. I to mści się na każdem działaniu. Wielu z generałów, walcząc z Rosją, równocześnie kombinuje, jak zabezpieczyć sobie rangi, pobory, wyróżnienia. Są to nawet ludzie dzielni, odważni. Cóż, kiedy „duch tego czasu" urobił ich psychologję w tak dziwny, sprzeczny amalgamat?

Opowieść p. St. Szpotańskiego rozwija się identycznie z biegiem wydarzeń tego powstania. By stało się zadość tej prawdzie, autor stworzył fikcyjną postać Zdzisława Znamierowskiego. Jego przygody odzwierciadlają tętno faktów, ale nie on jest bohaterem tej opowieści. Tragedja narodu przygniata, odsuwa w cień tę skądinąd sympatyczną, pomocniczą figurę. Więcej interesuje Skrzynecki i jego posunięcia, niż Znamierowski. Jest on tylko przewodnikiem po dantejskim piekle tragedji powstaniowej. Brał udział w spisku Łukasińskiego. Umknął do Paryża, rozpuszczając wieść, iż umarł. Na wieść o powstaniu zjawia się ten „dezerter z armji Królestwa Kongresowego" w kwaterze Chłopickiego. Dostaje przydział wojskowy. Staje się adjutantem wodza. Zostawił żonę, która ma go za umarłego, gdyż... istniały dowody przeniewierstwa z jej strony. Róża kochała się w spiskowcu Krzyżanowskim. Była duszą wszystkich zmów przeciw moskalom. W nocy listopadowej nie była bierną czy nieuświadomioną spektatorką. Zapałem swoim podsycała płomień buntu wśród podchorążych. Spotkanie jej ze Znamierowskim mogło było wytworzyć wiele interesujących kolizji powieściowych. Nie chodziło widocznie o nie autorowi. Jak Znamierowski odzwierciadla nastroje wśród wojska i zrównoważonej części społeczeństwa, tak Róża służy za pretekst do pokazania, co działo się w te gorączkowe, smutne miesiące wśród radykalnej, czerwonej Warszawy. Rolę tę spełnia jeszcze „Figa", rezolutna panienka warszawska, bywająca w kawiarniach i roznosząca odezwy „czerwonych" po wałach obronnych Pragi.



St. Szpotański

Dzieje powstania zamyka wyjazd Znamierowskiej z Warszawy. Spotka się z mężem w Paryżu, gdzie zapewne wróci ten dzielny oficer do kowalstwa, które uprawiał po ucieczce z Warszawy po wykryciu „spisku Łukasińskiego".

Autor skorygował kilka wydarzeń z tego powstania. Legenda mówi, iż Sowiński umarł na „reducie Ordona!!. Spotański śmierć tego bohaterskiego generała opisał zgodnie z faktami. Sowiński poległ na cmentarzu wolskim, walcząc do ostatniej chwili z napływającą falą szturmującego żołdactwa. Interesujące są charakterystyki poszczególnych, głównych działaczy w tej naszej smętnej epopei. Chłopicki nie miał zmysłu politycznego. Jako wódz wykazał zalety. Należy żałować, iż bitwa grochowska usunęła go z pola. Skrzyneckiego pokazuje p. Szpotański w analizie niemal aż za delikatnej; robi z niego przezornego taktyka „ostrożności", gracza o własną karjerę, pyszałka, rozkochanego w teatralności, chytrego, sprytnego rachmistrza. Postać ta podczas pokoju byłaby na miejscu. Wojna wymagała innych kwalifikacji, a tych znakomity taktyk od wiązania intryg nie posiadał. Sromotnie przegrał bitwę pod Ostrołęką; nie przygotował się do niej, nie znał terenu, zmarnował ludzi i świetną militarną okazję. Potrafił za to urządzać fety w ogrodzie Saskim.... Figura to nietylko czasów listopadowego powstania.

Czy zdawano sobie sprawę z grozy sytuacji? W miarę rozwoju wypadków dojrzewała myśl o klęsce. Wtedy to „opuszczała serca dbałość" o sprawę powszechną, ustępując miejsca trosce, jakby swoje osobiste zabezpieczyć interesy, usunąć się na bok i nie ściągać zemsty powracających panów".

W gorące dni walk „modą stały się spacery eleganckich warszawianek na szańce dla dodawania ducha. Okopy przyoblekały się w uśmiech, witający nadchodzącą śmierć. Wyglądały, jak kiermasz, jak park, barwny tysiącem sukien i parasolek, brzęczący flirtem przy zaimprowizowanych na trawie podwieczorkach".

Rozprzężenie weszło w domy i rodziny, ustała praca, utracił wartość pieniądz.

Tak kończyły się entuzjastycznie poczęte czyny belwederczyków! Groza mówi z tych faktów i wstrząsa dziś może więcej, niż kiedykolwiek. Nie mieliśmy wtedy człowieka, któryby stał na poziomie zadań epoki. To nas wtedy zgubiło. I dlatego opowieść p. St. Szpotańskiego nosi wymowny tytuł „Bez słońca".

Eustachy Czekalski

Z WYSTAWY W WARSZAWSKIEJ ZACHĘCIE SZTUK PIĘKNYCH



J. Bobińska-Paszkowska *Kontemplacja*



J. Bobińska-Paszkowska *„Na łódce"*

Fot. N. Pełczyński



Błażej Iwanowski *Portret p. T. K.*



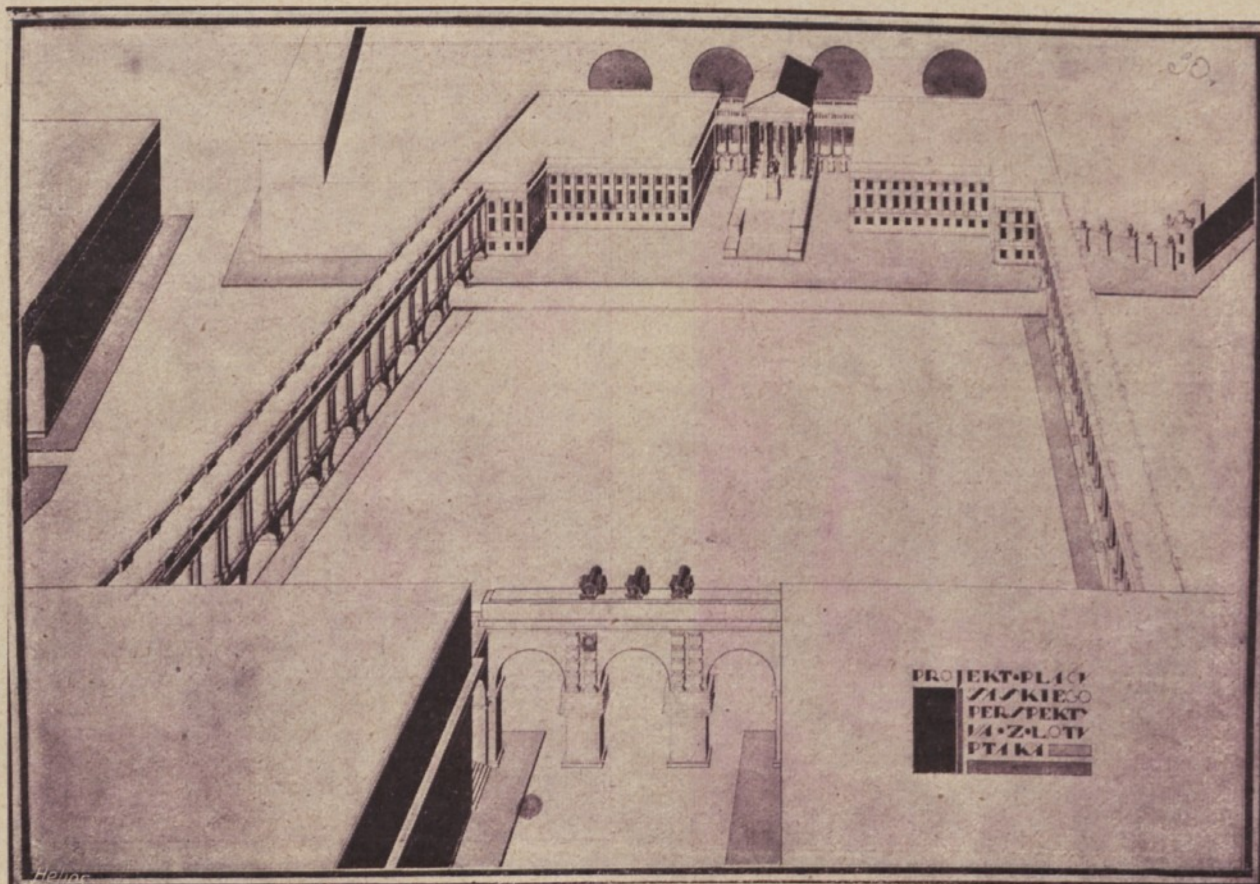
Zdzisław Jasiński *„Muszla"*

Z WYSTAWY W WARSZAWSKIEJ ZACHĘCIE SZTUK PIĘKNYCH



St. Witkiewicz Fot. Pełczyński *Polowanie z chartami*

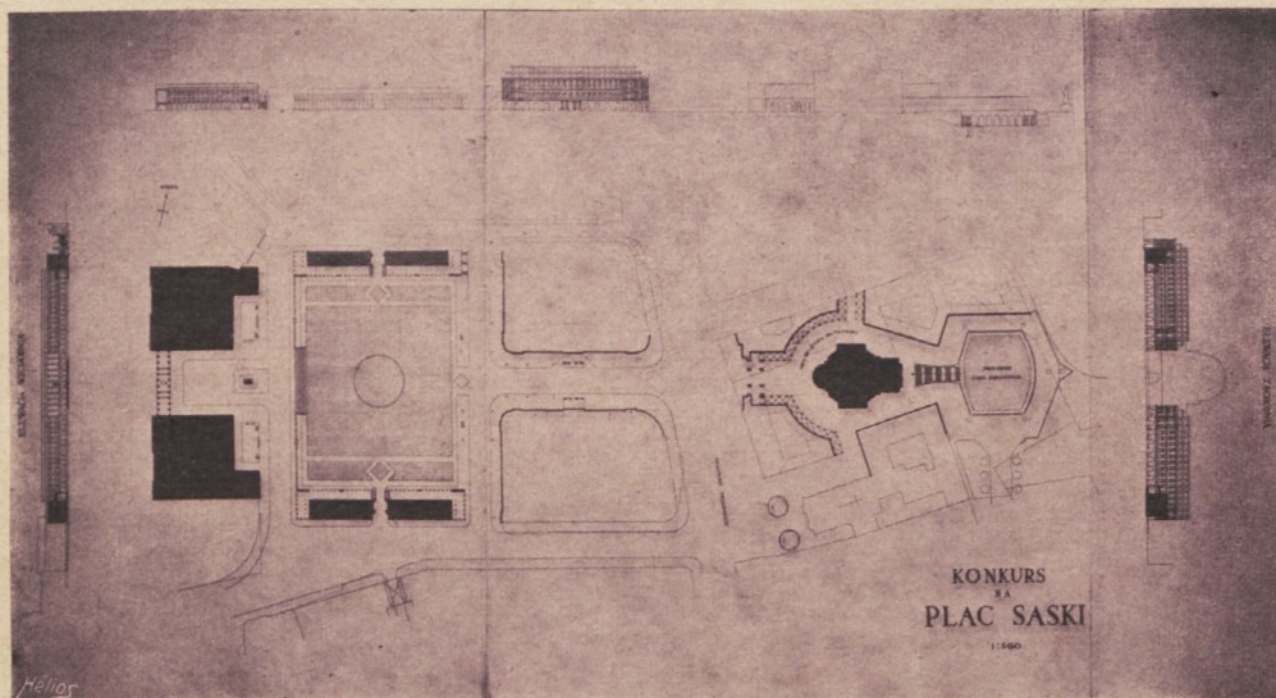
KONKURS NA UREGULOWANIE I ROZPLANOWANIE PLACU SASKIEGO W WARSZAWIE



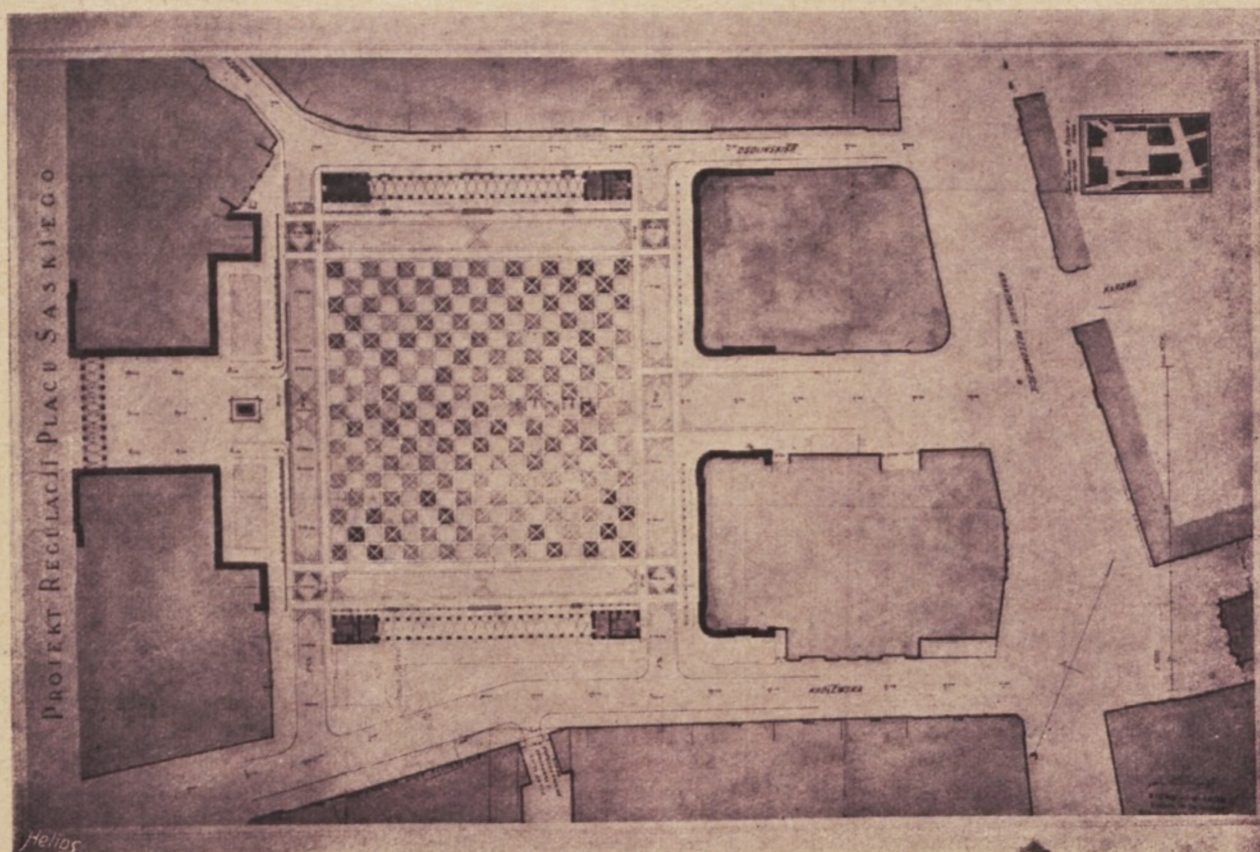
Nagroda III. Inż. arch. Edgar Norwerth

KONKURS NA UREGULOWANIE I ROZPLANOWANIE PLACU SASKIEGO W WARSZAWIE ŁĄCZNIE Z PROJEKTEM WZNIESIENIA POMNIKA BOJOWNIKOM O NIEPODLEGŁOŚĆ OJCZYZNY

Po usunięciu cerkwi prawosławnej z Placu Saskiego nasunęło się ważne zagadnienie uregulowania i rozplanowania tej części naszej stolicy. Chodziło o to, by Plac ten nabrał estetycznego i reprezentacyjnego wyglądu. Rudery od ulicy Królewskiej, bezstylowość domów od strony ulicy Ossolińskich szpecą mocno ten piękny a pełen wspomnień historycznych plac. Sprawę tę podniosło Warsz. Tow. Zabytków Przeszłości, jako instytucja, której „Komitet wzniesienia pomnika bojownikom o Niepodległość Ojczyzny" powierzył wystudjowanie i przygotowanie planów. Na konkursie specjalnym wyróżniono trzy projekty, które podajemy, by daćpojęcie, jak „Plac Saski" wyglądałby ewentualnie, gdyby który z tych planów znalazł realizację.



Nagroda I. Arch. Antoni Jawornicki (współudział arch. K. Sachsa)



Nagroda II. Dr. arch. prof. pol. warsz. Oskar Sosnowski

Z TYGODNIA

Mniemaliśmy, że mamy zbyt wiele ministerstw. Naprzód dlatego, że każde ministerstwo obciąża budżet. I dlatego jeszcze, że każde ministerstwo stanowi tamę, nietyle regulującą, ile powstrzymującą swobodny nurt życia.

Cóż bowiem robić mają niezbyt potrzebne ministerstwa? Nie rozporządzają funduszami, któreby pozwalały im na pozytywną, twórczą działalność. Zamieniają się tedy w biurokratyczne machiny, utrudniające życie i pracę obywatelom, którzy inaczej nie wiedzieliby wcale o ich istnieniu. Krępują wolność. A wolność, to płodność.

Okazuje się przecież, iż mniemanie nasze było błędne. Mamy za mało ministerstw. Ma być utworzone nowe: Ministerstwo poczt i telegrafów. Przed kilku laty uznano, że było zbędne i skasowano je. Teraz ma być wskrzeszone. Dlaczegóżby nie? W Polsce jest tylu kandydatów na ministrów!

. . . .

Na twardym stolcu ministra Wyznań i Oświecenia publicznego nikt nie potrafi długo usiedzieć. Wiecie, ilu mieliśmy ministrów tego resortu w ciągu ośmiu lat? Ośmnastu. Od maja z. r. po dzień dzisiejszy były tylko cztery zmiany: Stanisław Grabski, Pomorski Mikułowski, Bartel, i teraz dr. Dobrucki. Każdy z dostojników, obejmując tekę, zaczyna od „zaznajamiania się z biegiem spraw". Nie zawsze ten proces bywał ukończony, kiedy już pan minister zsiadał z wysokiego stolca. I ta galopada z szufladkami odbywa się w ministerstwie, którego budżet wynosi rocznie 325 miljonów złotych. Pod względem wysokości sumy zajmuje drugie miejsce w budżecie ogólnopaństwowym. System oszczędnościowy nie tknął prawie wcale dwóch pozycji: wojska i oświaty. Opinja publiczna uznała, że obrona państwa i kształcenie obywateli — to sprawy najważniejsze, godne największych ofiar.

Jakże to jednak wygląda w praktyce, jeśli co parę miesięcy przychodzi nowy minister? Najlepsza wola i nawet znaczniejsze zdolności mało pomogą: sprawy oświatowe w Polsce są niezwykle skomplikowane, wymagają wszechstronnej znajomości stosunków, ukształtowanych pojęć, głębiej przemyślanego programu. Czy możliwem to jest w tej zawrotnej galopadzie z nieustanną zmianą tancerzy?....

. . . .

Panią Marję Jehanne Wielopolską, autorkę „Kryjaków", tak zraziły niespokojne rządy mężczyzn, że, odpowiadając na ankietę „Głosu prawdy", domaga się odsunięcia ich od władzy, powierzenia jej „autokratycznemu matryarchatowi", t. j. kobietom.

— Wojna, przedwojnie i powojnie, pisze p. Wielopolska, uprzytomniły nam, jak dalece zawiódł mężczyzna, jako czynnik etyczny, twórczy, gospodarczy, organizacyjny, dyplomatyczny etc.

Ponieważ na wolnościowe rządy demokratyczne trzeba się przygotowywać w długiej, żelaznej dyscyplinie, — ponieważ niema prawie w Polsce mężów stanu i niema innych objawów społecznych, jeno warcholstwo, p. Wielopolska uważa za jedyną formę rządów w Polsce, na rozległy jeszcze okres czasu — matryarchat autokratyczny.

Gwałtu, co się dzieje?... .

— Ktoby chciał osiąść w Osieku, musi poddać się nowo nadanym prawom, to jest zawdziania spódnicy. W przeciwnym razie będzie uważany jako burzyciel powszechnego pokoju, targający się na władzę miejscową i jako taki uwięziony!

Któż to mówi?

Makary, w komedji Fredry, bo Fredro wyprzedził p. Jehanne Wielopolską o trzy ćwierci wieku.

Kiedyż ziszczą się te piękne koncepcje, kiedyż, jak wysławia się ozdobnie fredrowska Urszula, Osiek — Polska, mądrością niewiast rządzona, dozna niezaprzeczonych korzyści?....

. . . .

Wykrycie spisku komunistycznego w organizacjach białoruskich i aresztowanie pięciu posłów, wmieszanych w te intrygi, wywołało olbrzymią sensację. Już nieraz pisaliśmy w „Świecie" o akcji antypaństwowej pewnych członków naszej Izby Ustawodawczej, wyzyskujących niegodziwie przywilej nietykalności poselskiej. Władze nasze musiały zdobyć niezbite dowody tej ich karygodnej działalności, skoro ważyły się uwięzić ich na własną odpowiedzialność.

Zdrajców, spiskujących przeciw Państwu Polskiemu, winna spotkać surowa kara. Ale równocześnie trzeba pamiętać, że gdy słabsze plemiona, niezdolne do stworzenia własnej państwowości, znajdą się w ramach państwowości innej, — trzeba, jak pisze Faguet, — starać się, aby te słabsze plemiona przekazały wielkiej ojczyźnie te uczucia, które żywią dla małej. Jeśli to przelanie uczuć nie dokonywa się w okresie kilku pokoleń, współżycie owych słabszych plemion z wielką ojczyzną, t. j. państwem, uledz musi katastrofie.

Mijają już bowiem czasy, kiedy jakimkolwiek ludem można było rządzić pomimo jego przyzwolenia i uczuć. A my, cośmy przez półtora wieku znosili jarzmo niewoli, najlepiej winniśmy to rozumieć i najwięcej strzedz się błędów, które wobec nas popełniali moskale, niemcy i austrjacy.

. . . .

Czy to tylko zbieg okoliczności, że w trzech czy czterech kinematografach warszawskich równocześnie wyświetlane są obrazy, osnute na tematach rosyjskich? Zaiste, ten repertuar budzi pewne podejrzenia. W jednym kinematografie śródmiejskim pokazują obraz, który jest dość głupią ale serdeczną apologją caratu. Po drugiej stronie tejże ulicy — eksponują dramat ekranowy, który całkiem niedwuznacznie usiłuje wzniecić sympatje dla nowej, bolszewickiej Rosji. W obu teatrach co wieczór tysiączne tłumy: tu ronią czułe łzy nad szlachetnością wielkiego księcia rosyjskiego, tam burłak z nad Wołgi, proletarjusz Republiki Sowieckiej, zdobywa pełne współczucie rozdygotanej publiczności. I jeszcze w innych teatrach świetlnych — inne filmy rosyjskie... Czy tego nie ponad miarę?

. . . .

Akcja Związku Autorów Dramatycznych Polskich celem obniżenia w stolicy podatków miejskich od przedstawień dramatycznych nie pozostała bez skutku. Zarząd miasta postanowił zredukować ten podatek do połowy, t. j. do 5%, ale tylko od sztuk oryginalnych i klasycznych. W ten sposób Zarząd miasta stanął na gruncie obrony

interesów twórczości polskiej i repertuaru. Stanowisko, zasługujące bezsprzecznie na uznanie.

Oczywiście, dyrekcje teatrów prywatnych nie będą z tej decyzji całkowicie zadowolone. Liczyły na zupełne zniesienie podatku, rozumiejąc, że jeśli teatry miejskie przestały go płacić, to niema powodu, aby teatry prywatne, należące również do obywateli stolicy, musiały go uiszczać. Przytem klauzula magistracka, chwalebna w zasadzie, w praktyce będzie dla scen prywatnych krępującą.

Pozostaje do rozstrzygnięcia pytanie, kto będzie określał, czy dana sztuka należy do repertuaru klasycznego lub nie. Wydaje nam się, że największe kompetencje w tej mierze przedstawia Związek Autorów Dramatycznych (krytycy dotychczas nie posiadają własnej odrębnej organizacji). Związek mógłby zresztą w tym celu wyłonić stałą komisję arbitrów, do której zaprosiłby także i przedstawicieli krytyki.

skrz.



NA WIDNOKRĘGU

DWA PRZEMÓWIENIA

Wielką zaletą dwóch przemówień min. Augusta Zaleskiego na temat polskiej polityki zagranicznej, które wygłosił d. 4 i 10 b. m., była ich jasność i szczerość. Żadnego owijania w bawełnę. Żadnej przesady. P. Z. bardzo dokładnie i systematycznie omówił stan wszystkich spraw polskich na terenie międzynarodowym, zarówno zasadniczych, jak i bieżących. To nam daje możność przedstawić w największym skrócie program Rządu polskiego w dziedzinie polityki zagranicznej:

Nie godzimy na cudze dobro, ale też nie pozwolimy oderwać ani jednej piędzi ziemi, przesiąkniętej krwią naszych synów, która stanowi naszą spuściznę dziejową, ani uszczuplić obszaru państwa polskiego, potwierdzonego traktatami międzynarodowemi. Naczelną cechą naszej polityki jest pokojowość. Godzimy się na rozbrojenie, ale po załatwieniu kwestji bezpieczeństwa. Prawa dla mniejszości narodowych opieramy na zasadach wzajemności. Ze wszystkimi sąsiadami pragniemy żyć w zgodzie, co jednak nie jest rzeczą łatwą. Niemcy prowadzą coraz ostrzejszy i coraz bardziej wyzywający atak na nasze granice zachodnie, atak, jak twierdzą, „pokojowy", ale przygotowują się dość jaskrawo i zuchwale do zbrojnego. Musimy czuwać i być w pogotowiu. Rokowania z Sowietami o pakt nieagresji idą opornie. Cziczerin w Berlinie rzuca przeciwko Polsce insynuacje. Prasa moskiewska występuje przeciw nam nieprzyjaźnie. Ale min. Zaleski wierzy, że to wszystko minąć musi wobec niewątpliwej wspólności interesów, nietylko ekonomicznych, które łączą oba sąsiednie państwa. Z Litwą nie przestaniemy prowadzić polityki wyczekującej. Najważniejszem z naszych przymierzy jest to, polityczne, wojskowe i gospodarcze, które nas łączy z Francją. Z Rumunją odnowiliśmy niedawno sojusz. Związki przyjazne łączą nas z Czechosłowacją, Jugosławją i Turcją. Staramy się utrzymać dobre stosunki z państwami baltyckiemi i bałkańskiemi. O Lidze Narodów wyraził się min. Zaleski bardzo gorąco; zaprzeczył, aby w instytucjach i kancelarjach Ligi gnieździła się jakaś specjalna animozja przeciw Polsce.

Oba przemówienia min. Zaleskiego, bogate treścią i wykwintne wformie, doznały dużego powodzenia. Zwłaszcza drugie, wygłoszone po za murami sejmowemi.

Echa obu przemówień rozległy się szeroko za granicą.

NA LITWIE

Z tego, co się dzieje i co się pisze na Litwie, niepodobna jeszcze wywróżyć, jaki będzie naprawdę program polityczny rządu Waldemarasa. Nie wydaje się tylko, żeby stosunki z Sowietami były dobre. Rozstrzelanie kilku komunistów w Kownie wywołało wielką burzę w Moskwie. Kom. wykonawczy partji komun. postanowił wyasygnować miljon rubli na propagandę i tworzenie grup bojowych komun. na Litwie. W Moskwie czatuje „rząd litewski", skompletowany na wypadek dokonania przewrotu. Opinja publiczna na Litwie oburzona jest do najwyższego stopnia na posła sowieckiego w Kownie, Aleksandrowskiego. Wpływowy „R i t a s" oskarża wprost tego, sui generis, dyplomatę o przygotowywanie zamachu rewolucyjnego na Litwie. Ale i Niemcy są niezadowolone z Litwy z powodu wydalania z Kłajpedy obywateli niemieckich. Nawet „Danziger Zeitung" twierdzi, że postępowanie rządu litewskiego wywołuje oburzenie w Niemczech przeciwko Litwie.

Rzeczą nie pozbawioną humoru jest pozdrowienie, jakie otrzymały organizacje litewskie z Rzymu od jen. sekretarza parti faszystowskiej, Turatiego, w którem T. uroczyście oświadcza, iż faszyzm włoski uważa Litwę za duszę bratnią, za „drugą młodą siłę, stojącą w szeregu bojowników przeciw destrukcyjnym tendencjom".

P.

Kilka wieści, mniej lub więcej sensacyjnych, z Pragi czeskiej: Cz.S. wykreśliła ze swego budżetu kwotę 100 milj. koron na zapomogi dla emigrantów rosyjskich. Jednocześnie przyjechali nad Wełtawę przewódcy emigracji, Kierenski i Milukow. Czy uda się im odwrócić ten cios, który z pewnością nie płynie wyłącznie z pobudek oszczędnościowych? „Daily Chronicle" donosi, a cała prasa powtarza, że toczą się pertraktacje między Cz.S. i Niemcami o pakt arbitrażowy. Jest w tem jakieś nieporozumienie, gdyż pakt taki został już zawarty 16 paźdz. 25 r. w Locarno. Generał Gajda, usunięty niedawno z szefostwa Gen. Sztabu Czeskiego, próbuje się w sposób oryginalny rehabilitować. Mianowicie oskarżył publicznie syberyjskie oddziały legjonistów czeskich, że w swoim czasie wydały adm. Kołczaka bolszewikom. Za to oskarżenie będzie pociągnięty do sądu. Z Pragi, do jednego z pism polskich, donoszą, że niemiec, ks. Cyryl Koburski, upatrzony został, przez monarchistów polskich i czeskich, na wspólnego króla. Wiadomość ta nie wywołała w prasie polskiej żadnego oddźwięku, ale nasi monarchiści nie powinni chyba puścić tej dzikiej wieści płazem.

D.

MARJA PAWLIKOWSKA

Z cyklu „DANCING"

JAZZBAND

Beczą owce,
kłapią wilcze kłańce,
wyją psy, płaczą koty w tęsknocie.
O wy, dzikie, zwarjowane tańce!
Szczęście nasze psie, wilcze i kocie!

ZAPROSZENIE

Wy, wiewiórki tańczące na drzewie,
i wy mistrze w zawodzie, cietrzewie,
i wy wilki biegłe w saxofonie
i żyrafy, i małpy, i słonie,
my, za puszczą tęskniący wygnańcy,
przysyłamy Wam zaproszenie na dancing!

WĘŻE

Musimy się tulić ku sobie,
giąć się,
przechylać i prężyć,
jak dwie kobry,
opętane obie
przez flet zaklinacza węży...

FOX-TROTT

Pocałunki z Florydy —
— angielskie imiona —
pod gwiazdzistą banderą murzyn w banjo bije.
Tańczymy? czy pan chwycił mnie nagle w ramiona?
Tańczymy? czy rzuciłam się panu na szyję?

BLUES

W mej duszy najtajniejszej camerze-obscurze
spokojna jestem wreszcie, i szczęściem przewiana,
gdy jak bezwzględny wicher,
który zgina różę,
zmuszasz mnie do zginania przed sobą kolana.

MOTYLE RÓŻKI

Dotknęłam pana jak motyl egretą
— przepraszam —
To było niechcący...
Pan jest jak czarny irys, smukły i gorący,
zapomniałam, że jestem kobietą...

CHARLESTON

Wśród małp skaczących wokoło
małpim obyczajem,
pośród gromady słoni,
w poryku i pisku,
my, jak Adam i Ewa, upojeni rajem,
tulimy się, tańcząc w uścisku...

W SIECI

Siatka na plecach moich, pleciona ze złota,
zczepiła się z rękawem mojego partnera!
W sieci oczek złocistych uwięzła tęsknota!
Tak się miota, że siatkę musimy rozdzierać...



Nowe filmy z Polą Negri

Pola Negri w obrazie „Hotel Imperial"

Trzynaście lat temu w dawnym teatrze „Nowości" w Warszawie w roli tancerki w pantominie „Sumurun" młodziutka wówczas Pola wywołała prawdziwą sensację. Z jaką rozkoszą wspominaliśmy przed kilku dniami w oddaleniu tę naszą wspólną pracę! Pamiętam doskonale, jak ta mała dziewczynka z próby na próbę urastała w moich oczach, jak trudna postać egzotycznej awanturnicy, ustrojona w tysiące odcieni psychicznych, w pantominie tylko bardzo subtelnemi odruchami i spojrzeniami zaznaczonych, zaczynała żyć nowem i to bardzo pełnem życiem w jej gorących oczach, jej cudownie kuszącym uśmiechu. Jej kibić giętka, jak trzcina, to prześlizgiwała się w chytrej zabawie, to prostowała nagle w dumnem poczuciu swojego rzadkiego piękna. Nigdy niestrudzona, zawsze pełna ochoty i ambicją podsycana, Pola Negri dawała mi wówczas, jako reżyserowi, zadowolenie pracy rosnącej i bogacącej się z godziny na godzinę. Były to urodziny artystki — i publiczność warszawska pierwsza wyczuła w tej młodziutkiej entuzjastce wielkie bogactwo pantomimicznego talentu.

W trzynaście lat później, tego roku, w teatrze kinowym na bulwarach paryskich, przez cztery miesiące z rzędu publiczność paryska zachwycała się Polą Negri, akcentując bez zastrzeżeń jej urok i jej pełne świeżości aktorstwo w roli Dubarry, postaci na paryskim bruku wyrosłej, a w polskiej artystce tak żywej i wzruszającej.

Tancerka z „Sumurun" na scenie i Madame Dubarry na ekranie zostaną na zawsze brylantami w koronie Poli Negri. Jej królowanie, wskutek fatalnie dobieranych tematów i nieodpowiedniej reżyserji w ostatnich kilku obrazach może zaciemnione, teraz zabłyśnie nowym blaskiem. W nowym obrazie p. t. „Hotel Imperial", który jeszcze nie został wyświetlony, ale uchodzi już za najlepszy produkt Paramountu z lat ostatnich, Pola Negri gra prostą dziewczynę, ale gra ją z niezwykłą finezją aktorską. Rzecz dzieje się we Lwowie, w czasie wojny, podczas rosyjskiej okupacji — a więc temat dla nas nie tylko ze względu na artystkę ale i ze względu na środowisko bardzo interesujący. Pod względem technicznym, jako produkt sztuki optycznej, artystycznego opanowania szczegółów i bardzo pomysłowej reżyserji, jest to obraz niezwykle ciekawy.



Austrjacka orkiestra wojskowa w obrazie: „Hotel Imperial"

Gra aktorska polskiej gwiazdy w tym obrazie przynosi jej honor



Pola Negri w obrazie „Drut kolczasty"

prawdziwej artystki i jestem przekonany, że cały świat powita ją na nowo, jako swoją dawną ulubienicę na ekranie. W porównaniu z ostatniemi obrazami imponuje tym razem niezwykła prostota, nadzwyczajne skupienie i przepyszne opracowanie szczegółów.

Pola Negri zdawała sobie świetnie sprawę z błędów, które razem z nią popełniała jej dyrekcja od pierwszego jej obrazu amerykańskiego. Posiada ona wiele poczucia samokrytycyzmu i zabierając się do nowego obrazu, za każdym razem przechodzi bardzo ciężką walkę wewnętrzną z sobą samą; sumienność w pracy została w niej ta sama od pierwszych wystąpień na scenie. Żegnając się ze mną tym razem, jak zwykle, okazała mi wiele serdeczności i na zakończenie dodała:

— Nie powstydzisz się mnie tym razem i mam nadzieję, że i ci wszyscy u nas w kraju, którzy zachowali dla mnie sympatję, będą się



cieszyć mojem powodzeniem. Powiedz im, że ich żywo mam w pamięci i — w sercu.

W ostatnich dniach przed moim wyjazdem kończyła Pola Negri już następny obraz, oparty na angielskiej powieści wojennej Hall Caine'a p. t. „Barbed wire" (Drut kolczasty), który również się zapowiada bardzo interesująco.

Cała międzynarodowa karjera naszej rodaczki dokonała się poza granicami Polski, a jednak jej istota, mimo pozorów, jest wewnętrznie silnie związana z krajem rodzinnym. Interesują ją wszystkie szczegóły naszego życia kulturalnego, rzeczy i ludzie teraźniejsi i miło nam było w tem oddaleniu nastawiać przestrzenie według naszego upodobania i odkręcać często taśmę filmu, który pewne jednostki przerzuca na daleką obczyznę i kładzie morza i lądy między serce i fatalistyczną walkę życiową, nie tępiąc jednak tej dziwnie nowoczesnej choroby, zwanej — tęsknotą.

Wszak pamiętamy, że tylko o kilka mil od Los Angelos miała swoją siedzibę i małą kolonję polską Modrzejewska, że u niej przez czas jakiś mieszkał Henryk Sienkiewicz i że tylko o trzy godziny koleją stąd mieści się farma migdałowa Paderewskiego w Paso Robles.

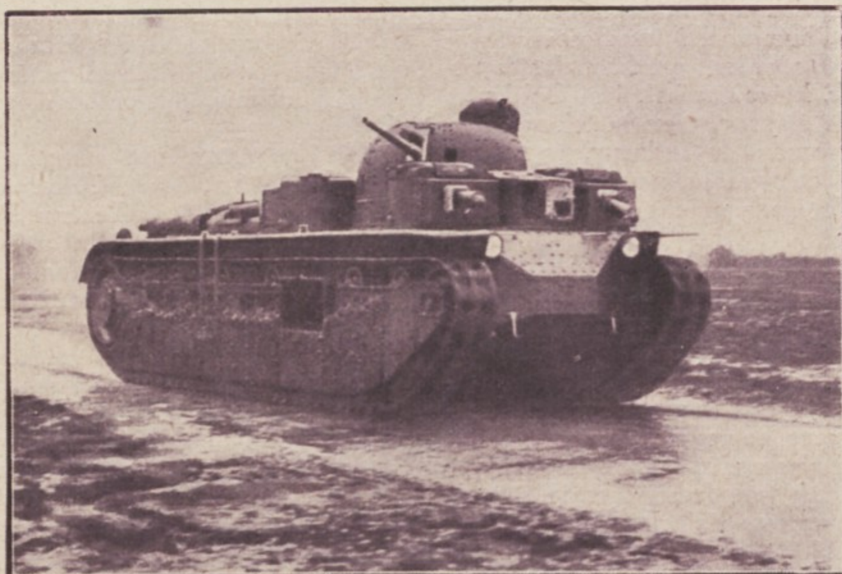
Ryszard Ordyński

PRZYJAZD PREZYDENTA REICHSTAGU DO WARSZAWY



Dnia 17 b. m. przybył do Warszawy prezydent parlamentu niemieckiego Loebe wraz z posłem Zerbe. Odwiedził on marszałka Sejmu Rataja. Siedzą od lewej do prawej: poseł Zerbe, vice-marszałek Daszyński, prezydent Loebe, marszałek Rataj i poseł Czapiński

Fot. Światowid



Nowy model angielski czołga-olbrzyma z działem szybkostrzelnem i 4 mitraljezami

Samochody bojowe

Si vis pacem, para bellum. Stara maksyma o zbrojnem zabezpieczaniu pokoju przetrwała w całej swej rozciągłości po nasze czasy. Nie naruszyły jej ani umowy lokarneńskie, ani toczące się w Genewie pertraktacje w sprawie ograniczenia zbrojeń. Aczkolwiek większość kulturalnych państw uczciwie manifestuje pokojowe tendencje i aczkolwiek niewątpliwie szczerze wyraża pragnienie choćby częściowej demilitaryzacji świata, technika wojenna nie przerywa ani na chwilę swej pracy, dąży nieustannie do udoskonalania śmiercionośnych narzędzi. Usiłowania wynalazców i konstruktorów kierują się zwłaszcza ku najnowocześniejszym rodzajom broni zaczepnej i odpornej, ku gazom trującym, aeroplanom i samochodom. Naogół praca w tej dziedzinie i osiągnięte wyniki są okryte tajemnicą, kiedy niekiedy jednak przy jakiejś okazji odsłania się rąbek zasłony, ukrywającej zazdrośnie przed niepowołanem okiem nowe zdobycze wojennej techniki.

Taką okazją stała się odbyta niedawno w Anglji konferencja państw dominjalnych. Zarząd wojskowy zdecydował się zaprezentować członkom poszczególnych rządów imperjum Wielkiej Brytanji wojenną potęgę państwa na lądzie i na morzu, zwłaszcza okręty bojowe i samochody bojowe. Pokaz materjału samochodowego odbył się w Cumberley i wywołał zrozumiałe zainteresowanie zarówno wśród premjerów dominjów, jak wśród szerokiego ogółu w Anglji, jak wreszcie i zagranicą.

W ciągu wielkiej wojny samochód zdał świetnie praktyczny egzamin. Pomijając olbrzymie tanki, które niejednokrotnie przechylały szalę poszczególnych bitew, samochód okazał się wprost niezastąpionym środkiem pomocniczym. Na podstawie poczynionych doświadczeń podjęto pracę nad dalszem udoskonaleniem samochodu bojowego, stworzono cały szereg nowych typów.

Zasadą, która znalazła powszechne zastosowanie, jest podwójny popęd: kołowy i tankowy. Z wyjątkiem wielkich jednostek, tych tanków olbrzymów, które posuwają się naprzód, miażdżąc wszelkie zapory i przeszkody, niemal wszystkie lżejsze bojowe wozy angielskie, zarówno pancerne, jak rekonesansowe, posiadają jednocześnie koła, opatrzone pneumatykami, oraz metalowe gąsiennice, umożliwiające ruch czołgowy. Dzięki temu stają się niezależne od warunków terenowych, mogą szybko, jak zwyczajne samochody, jeździć po szosach, lub też z pomocą gąsiennicy pokonywać wszystkie trudności nierównego terenu. Szybkość kołowa wynosi do 48 kilometrów na godzinę przy wadze wozu około trzech ton. Dwie lub trzy minuty wystarczają do zmiany jednego popędu na drugi.



Samochód wywiadowczy z podwójnym pociągiem: kołowym i czołgowym

Lekkie samochody bojowe są rozmaitego typu: jedno lub dwuosobowe. Przed atakiem chroni je stalowy pancerz, do obrony służy zmontowana na wozie mitralieza. Inne jednostki są zaopatrzone działami zenitowemi do walki z aeroplanami. Prawie wszystkie typy są standaryzowane, to znaczy, że w razie wojny mogą być produkowane ogromnie szybko całemi serjami.

Obok tej lekkiej armji, wspomaganej w akcji nader pomysłowo skonstruowanemi samochodami rekonesansowemi, wystąpią na plac przyszłej jakiejś wojny prawdziwe olbrzymy, zbudowane ze stali i żelaza, możnaby powiedzieć, ruchome twierdze, poruszające się swobodnie po najbardziej nierównym terenie, doskonale wyposażone do walki odpornej i zaczepnej. Do tego typu należy nowy model czołga z roku 1925, przedstawiony po raz pierwszy podczas pokazu w Cumberley. Ten czołg-goliat waży około 30 ton, w ruch wprawia go motor Ricarda o sile 150 koni. Ruchoma twierdza posiada pięć wież, z których środkowa kryje działo szybkostrzelne 47-milimetrowe, zaś cztery wieże zewnętrzne służą do osłony mitraliez. Nowy typ ma na celu zastąpić dawniejszy czołg „Mark—V", który podczas wojny oddawał doskonałe usługi. Czy wypełni on pokładane w nim nadzieje, przyszłość okaże, w każdym razie Anglja obiecuje sobie po nim bardzo wiele.

W związku z pokazem samochodowym w Cumberley i sprawozdaniami z jego przebiegu, zabrała głos również prasa francuska, imformując szersze koła czytelników, dość zresztą ogólnikowo, o stanie i rozwoju automobilizmu wojskowego we Francji. I tam również trwa energiczna praca w tym kierunku, by tę ważną broń przyszłej wojny doprowadzić i utrzymać w stanie należytej sprawności. Mniej tam jest nowych typów, aniżeli w Anglji, ale natomiast dawne wypróbowane już typy podlegają ciągłym udoskonaleniom. Podwójna trakcja angielskiego systemu nie znalazła dotąd zastosowania, ale, jak twierdzą fachowcy, rezultaty angielskie będą niewątpliwie pobudką do wejścia na tę drogę. Z wielkich czołgów na naczelnem miejscu utrzymuje się jeszcze ciągle „Mark—V", w niektórych szczegółach udoskonalony, ale nie przekraczający wagi 20 tonn. Francuscy fachowcy bronią gorliwie tego typu, dowodząc, że jest on jednostką dostatecznie potężną, a jednocześnie bardziej ruchliwą, niż 30-tonnowe olbrzymy, jakiemi w tej chwili chlubi się Anglja.

St. I.

CARLO GOLDONI

(Przed premjerą „Sługi dwóch panów" w Teatrze Polskim)

W Wenecji, owej jasnej, zawsze wesoło uśmiechniętej królowej Adrjatyku, urodził się lat temu 220 — Carlo Goldoni.

Człowiek ten, wesoły, lekki, niefrasobliwy, żywy i ruchliwy, jak jego miasto rodzinne, którego duszę i charakter czuł szczerze i głęboko i umiał je w swych komedjach odtwarzać z mistrzowskim wprost humorem, jak nikt inny przed nim, ani po nim — uważany jest przez



Carlo Goldoni

wielu za ojca komedji włoskiej. Twierdzenie to zbija jednak doskonały znawca Teatru włoskiego, Luigi Tonelli, dowodząc, że komedja włoska istniała już przecież na kilkaset lat przedtem, — Goldoni może być jednak uważany za wielkiego jej reformatora.

Goldoni, wyszedłszy sam z panującej wówczas wszechwładnie płaskiej i banalnej Commedia dell'arte, wziął z niej to, co w niej było dobrego, wziął humor, dowcip, zabawne sytuacje, zatrzymał nazwę stałych postaci „maschere" — Pantalone Doktor, Arlekin, Colombina — ale nie były to już dawne szablony skostniałe!

Goldoni wprowadził ludzi żywych. Naturalizm i szczerość to jego żywioł. Jego postacie to nie martwa fotografja natury, ale życie prawdziwe. Goldoni tworzył charaktery z krwi i kości, odrzucając i zwalczając zastygłą w regułach i formach banalność, trywialność i buffonadę komedji dell'arte.

Komedje Goldoniego, których napisał sto kilkadziesiąt, nie licząc dziesiątek intermezzów muzycznych, scenarjuszów i kilku słabszych zresztą tragedji, komedje te tętnią życiem i płoną zdrowym rumieńcem, zabarwione ponadto błogosławionym, cudownym dowcipem, humorem i wesołością.

W niewielu sztukach historycznych, które napisał, jest Goldoni o wiele słabszy, pierwiastek zaś fantastyczno - legendarny, w którym tak celował jego współzawodnik, Carlo Gozzi, nie odpowiadał Goldoniemu wcale.

Jego dziedzina, to bezpośredniość życia, ruch, ustawiczny ruch, dekoratywność, barwność i malowniczość! Goldoni był pierwszorzędnym kolorystą! Stąd ta wielka świeżość w niektórych zwłaszcza jego komedjach, które przedostały się bardzo szybko za granicę i zjednały młodemu jeszcze względnie autorowi sławę, zwłaszcza we Francji.

Ze współczesnych nikt może nie ocenił Goldoniego tak dobrze i trafnie, jak Wolter, który w jednym z listów, pisanym wcale dobrą włoszczyzną, powiada:

„Malarzu natury, kocham pana, odkąd pana czytuję. Powiedziałem — oto uczciwy i dzielny człowiek, który oczyścił scenę włoską, który tworzy z fantazji i pisze rozumnie. Uwolnił pan swoją ojczyznę z rąk arlekinów. Pańskie komedje chciałbym zatytułować: Italja uwolniona od Gotów. Pańska przyjaźń przynosi mi zaszczyt, zachwyca mnie".

W r. 1750 Goldoni przyjął zobowiązanie na napisanie szesnastu komedji w ciągu roku i umowy ściśle dotrzymał. Z mnóstwa jego komedji niektóre przetrwały, nie straciwszy nic ze swej świeżości, wdzięku i uroku i oglądane dziś na scenie, bawią widza i rozśmieszają, podobnie, jak przed dwustu laty.

N a j l e p s z a jest bezsprzecznie „La Locandiera" (Mirandolina), wystawiona w Teatrze Polskim w r. 1919; pozatem należy wymienić: „Un curioso accidente" (ciekawy przypadek), „La vedova scaltra" (Sprytna wdowa), „Rusteghi" (Nieokrzesańcy) i „Il servo di due padroni" (Sługa dwóch panów).

Kiedy w latach pięćdziesiątych Goldoni stał u szczytu sławy i publiczność wenecka szalała wprost z radości na jego komedjach, rozpoczął się dla wesołego autora najcięższy i najsmutniejszy okres życia.

Sprytny i uczony jezuita ks. Pietro Chciari i znany autor dramatyczny, wpływowy hrabia wenecki, Carlo Gozzi rozpoczęli przeciw Goldoniemu ostrą walkę literacką, występując w obronie commedia dell'arte. Ostre środki walki słownej, dziennikarskiej i na deskach teatru tak uprzykrzyły życie Goldoniemu, że ulegając zaproszeniu przyjaciół z Paryża, postanowił opuścić Wenecję. Przeniósł się na stałe do stolicy Francji i tam spędził trzydzieści ostatnich lat swego życia w warunkach przeważnie bardzo opłakanych.

Fr. Szyłmanówna

JAK UPRZYJEMNIAJĄ SOBIE PRACĘ ROBOTNICE W KUBAŃSKICH FABRYKACH CYGAR!



Wędrowny lektor, słynny z posiadania książek o niezwykłych, romantycznych przygodach, uprzyjemnia czytaniem pracę robotnicom sortującym i pakującym cygara w Hawannie

Drobiazgi teatralne

(Teatr Ćwiklińskiej i Fertnera: „Ten pierwszy", Teatr Letni: „Potęga reklamy")

Katastrofa kolejowa, wstrząśnienie mózgu, utrata pamięci, rozdwojenie osobowości — wszystko to już było przedmiotem dramatu, sensacyjnego romansu i powieści. Panowie Mirande i Mouezy Eon podeszli do tego tematu od strony komedjowej i farsowej. Małżonek, którego wszyscy uważali za zmarłego, pojawia się po trzech latach w swoim własnym domu w roli fryzjera. Usłużny lekarz przywraca fryzjerowi hypnotycznym zabiegiem pamięć, wywołując tem niesłychany zamęt w życiu p. Rajmundy, która tymczasem zdążyła drugi raz wyjść zamąż. Na tem tle rozwija się cały szereg nieprawdopodobnych sytuacyj, dochodzących aż do tego, że komisarz, wezwany przez żonę „fryzjera" dla stwierdzenia zdrady małżeńskiej, znajduje w łóżku dwuch mężczyzn: pierwszego i drugiego męża Rajmundy. „Ten pierwszy" odnosi wreszcie zwycięstwo nad drugim, prawdopodobnie dzięki intensywności odświeżonych doświadczeń małżeńskich.

Komedja, zarysowana w pierwszym akcie interesująco, a nawet pomysłowo, rozsypuje się w dwuch następnych. Bardzo zabawnym był p. Grabowski w podwójnej roli fryzjera i przemysłowca.

• • •

Treścią krotochwili amerykańskiej, wystawionej w Teatrze Letnim, jest pochwała i uwielbienie reklamy. Temat dla nas jeszcze trochę egzotyczny, ale już bardzo pouczający. Rezoner tej komedji, świetnie zarysowana postać Ambrożego Peale, opowiada w wymownych tyradach, jak wielką dźwignią społeczną, gospodarczą i finansową jest umiejętnie i współcześnie zorganizowana reklama. Sztuka, nie przekonywując nas do postaci komedjowych, zdobywa przebojem dla samej idei. Nietrudno sobie wyobrazić, jak reklamowano w tej krotochwili wielkie firmy i trusty amerykańskie, skoro na naszym skromnym gruncie umiano przemycić pochwały handlowe dla Pulsa, Eliboru, Gilette i t. d.

Intryga i sytuacje tej sztuki są bardzo skomplikowane i mało przejrzyste. Rozgrywa się urojona walka między ojcem i synem; między finansistą starego typu a młodym, pomysłowym, pełnym rozmachu i fantazji chłopcem, który cały swój skromny — pożyczony zresztą — kapitał rzuca na cele reklamy. Reklamuje mydło, którego nie fabrykuje, nie posiada i nie ma nawet za co kupić. „Przedsiębiorstwo" staje prędko przed bankructwem, spólnikom grozi więzienie, aż nagle sugestja społeczna zaczyna działać. Sypią się zamówienia na dziesiątki tysięcy „mydła dolarowego" — koszt produkcji trzy centy (!) — i stary wyga ponosi klęskę. Przystępuje do spółki, godzi się na małżeństwo jedynaka, wygłasza w ostatniej scenie hymn na cześć współczesnej reklamy.

To się nazywa robić reklamę... reklamie. „Potęga reklamy" jest arcywspółczesną krotochwilą z „tezą". Teza amerykańska, uzasadnienie dynamiczne.

Sztukę wyreżyserowano doskonale i zagrano w żywem tempie. Aktorzy grali naogół dobrze (Orwid, Lindorfówna). Świetną postać menagera reklamy stworzył p. Zelwerowicz, niewyczerpany w pomysłach krotochwilnych. P. Larys-Pawińska bardzo inteligentnie i interesująco zagrała rolę międzynarodowej aferzystki.

E. B.

TEATR KRAKOWSKI

Deficyty teatru Jul. Słowackiego stały się przedmiotem ożywionych obrad w krakowskiej radzie miejskiej. Deficyty te wynoszą obecnie 600 tys. zł. Niektórzy radni twierdzili, że ta poważna suma, asygnowana na teatr, nie jest w żadnym stosunku do wydatków gminy na inne cele kulturalne. Tembardziej — dodać należy — iż teatr krakowski w obecnym sezonie służy przeważnie literaturze dramatycznej obcej. Wyłoniło się tedy pytanie: czy godzi się z mało zasobnej Kasy gminnej łożyć tak znaczne sumy po to, aby teatr, noszący imię wielkiego poety polskiego, wystawiał sztuki cudzoziemskie, zwłaszcza niemieckie?

Znaczna liczba przedstawicieli miasta domagała się, aby teatr został wydzierżawiony przedsiębiorcy prywatnemu. Przykład m. Łodzi stanowi pod tym względem dodatni precedens. Nam wszakże wydaje się, iż sprawy teatralne poszczególnych większych miast powinny być poddane zbiorowej rewizji, któraby zarządy tych miast doprowadziła do porozumienia i ujednostajnionej akcji.

CZESKI „TEATR WYZWOLONY"

Reformy Meyerholda i Tairowa wydały się czeskim poetom, artystom i tancerzom młodego pokolenia za niewystarczające do osiągnięcia widowiskowej poetyczności. Postanowili więc związać się w grupę o wyraźnym programie artystycznym. Nazwali się „Dziewięć sił" i pod kierownictwem Jindrich'a Honzl'a oraz Jiri'ego Freika założyli teatr, który dostał wywieszkę „Osvobozene divadlo". Teatr ten rozpoczął już drugi sezon istnienia. Krytyka czeska odnosi się do poczynań tych młodych artystów z życzliwością, choć nie szczędzi uwag nieraz bolesnych.

Ciekawe jest, że w pierwszym sezonie „Teatr wyzwolony" wystawił pięć sztuk i dwie pantominy i wszystkie te utwory były nie czeskich autorów. „Poetyzm" miał przemawiać przez ich realizację sceniczną, a... grano Arystofanesa „Sejm kobiet", Moliera, „Grzegorza Dandin", Jewreinowa „Szczęśliwą śmierć", R. Desaignes'a „Milczący kanarek" i „farsę Mistrza Mimin'a". W sezonie bieżącym obok Apollinaires'a „Mamelles de Tiresias" wystawiono V. Nezvala wodewil „Depesza na rowerze". Pozatem znów ukazał się na scenie Debussy ze swojem „Pudłem zabawek" i... poszli znów autorzy zagraniczni. Groteski, burleski, tańce, łamańce miały objawić zwycięstwo nad kubizmem, reformizmem i pouczyć, jak osiąga się „poetyczność" w teatrze.

Teatr jest w tej koncepcji instytucją uwolnioną z tradycyjnej, konwencjonalnej ideologji, literatury, psychologji, sentymentalizmu. Sam dla siebie i przez swoje środki zdążać winien do celu i widowiska.

U nas już były próby tego rodzaju czynione. Rezultat ich wiadomy. Niestety, nie da się zrobić rewolucji w teatrze bez... autora. Reżyser nawet najzdolniejszy, nawet genjalny bez Szekspira czy Wyspiańskiego nic zrobić nie może. Teatr bowiem zaczyna się od pisarza. Wielkość teatru francuskiego polega na tem, że posiada on literaturę dramatyczną i ciągłość wysiłku twórczego, przez cztery wieki.



DRUGA GENERACJA



Aleksandra Micińska, młodziutka córka znanej artystki, Wandy Micińskiej, występuje w Praskim teatrze Odrodzonym. Ostatnio grała „Wandzię" w „Weselu Fonsia" z rzetelnym temperamentem i powodzeniem



Komitet organizacyjny i członkowie jury międzynarodowego konkursu im. Fryd. Chopina, organizowanego przez Wyższą Szkołę muzyczną imienia Chopina przy Warsz. Tow. Muzycznem. Od lewej ku prawej I rząd (siedzący): pp. L. Różycki, F. Szopski, Z. Rabcewiczowa, Włodz. ks. Czetwertyński, Al. Michałowski, W. Maliszewski, St. Barcewicz, P. Maszyński, H. Melcer. II rząd (stojący): pp. Binental, Czerniawski, Natansohn, Gliński, Chojnacki, Drzewiecki, de Bondy, Bereza, Śmidowicz, Wyszyński, Żórawlew i Turczyński Fot. M. Fuks

Przed pierwszym międzynarodowym konkursem im. Chopina w Warszawie

Piszemy: — przed *pierwszym*, spodziewać się bowiem należy, że trafna inicjatywa Wyższej Szkoły Muzycznej Im. Chopin'a wyzyskana zostanie w przyszłości... Że znajdą się środki rządowe i płynące z prywatnej ofiarności, dzięki którym konkursy chopin'owskie w Warszawie odbywać się będą co jakiś określony przeciąg czasu, tak, jak niegdyś odbywały się konkursy imienia Rubinsteina w Petersburgu.

Fundacja na cel ten znaleść się winna koniecznie, i to nietylko ze względów propagandy, lecz także z przyczyn głębszych: Idzie tu bowiem o ustalenie wielkiej tradycji polskiego stylu fortepianowego, o całkowite zespolenie sztuki Chopin'a z miastem, w którem się wychował, i z Polską.

Z pośród solowych instrumentów fortepian jest bezwątpienia naszym instrumentem narodowym. Wytworzyliśmy w tej dziedzinie naszą własną tradycję, tradycję niedoścignioną przez obcych. Niema przyczyny, dla której nie mielibyśmy w tym właśnie kierunku wyraźnie zaznaczać naszych istotnych zdobyczy.

Międzynarodowy Konkurs Chopin'owski rozpocznie się w niedzielę, 23-I w Filharmonji, pod patronatem Prezydenta Rzeczypospolitej. Powitają zebranych przemówienia dyrektora Wyższej Szkoły Chopin'a p. Maliszewskiego, prezesa komitetu konkursowego, Michałowskiego, oraz prezesa Tow. Muz. ks. Czetwertyńskiego.

Zawody pianistyczne obliczone są na sześć dni. Kolejność gry adeptów ustali losowanie. Nie będzie, jak mniemano przedtem, grup państwowych, lecz każdy zawodnik ubiegać się będzie o pierwszeństwo indywidualne. Ośmiu najlepszych pianistów przystąpi ostatniego dnia „turnieju" do wykonania koncertów fortepianowych z tow. orkiestry. Po konkursie o północy projektowana jest produkcja laureatów przez radjo dla Warszawy i wszystkich stacyj europejskich.

Nagród jest cztery: 5000 złotych,— nagroda P. Prezydenta, 3000 Min. W. R. i O. P., — 2000 — nagroda Warszawy, wreszcie Radjo ofiarowuje od siebie złoty medal, jako nagrodę za wykonanie najlepsze mazurka chopin'owskiego.

Oprócz pianistów polskich i zagranicznych, których listę podaliśmy uprzednio, w ostatnich dniach zgłosili jeszcze swój udział w turnieju dwaj młodzi artyści, mianowicie Prażmowski z Paryża i bardzo pięknie zapowiadający się młody wirtuoz Horowic.

Bilety wejścia na salę, prócz odpowiedniej liczby miejsc dla korpusu dyplomatycznego, sędziów i t. d., zarezerwowanej na cały przeciąg produkcyj, dostępne dla publiczności po cenach zupełnie umiarkowanych. Wyższa Szkoła Muzyczna dąży do wycofania pewnej części kosztów, — nie idzie tu oczywiście o żaden zarobek.

Tendencja słuszna, umożliwiająca szerokim masom wzięcie udziału w produkcjach.

Inna rzecz, gdy już mowa o „szerokich masach", iż biuro prasowe Konkursu nie okazało należnej w tym wypadku sprężystości. I zagranica i Polska do ostatniej chwili nie była dostatecznie informowana o przebiegu prac konkursowych. Nie zdołano utrzymywać uwagi publicznej w napięciu, dość późno i dość niewyraźnie powiadamiano zagranicę. Niedość jasno informowano szkoły muzyczne krajowe.

Na konkurs o tak doniosłem znaczeniu dla muzyki polskiej i pianizmu winien był komitet urządzający uzyskać cały szereg ulg kolejowych, winien był sprowadzić chociażby delegacje wyższych klas konserwatorjów i wyższych szkół muzycznych Krakowa, Lwowa, Poznania, Wilna, Katowic i t. d.

Nie chodzi tu przecie o próżność własną, czy autoreklamę, lecz o zwrócenie uwagi na doniosłe w życiu naszem wydarzenie artystyczne, jakiem jest turniej odtwórczy, mający ustalać klasyczne wzory wykonania Chopin'a dla świata.

jkb.

WSPOMNIENIE POŚMIERTNE

Ś. p. Bronisława Rymowiczowa

Ś. p. Bronisława z Januszkiewiczów Rymowiczowa, urodzona w 1839 r., w Wilnie, poślubiona w początku 1863 r. Dr. Feliksowi Rymowiczowi, osiadła z nim w Petersburgu, gdzie wkrótce znalazła pole działania, odpowiadające najbardziej potrzebom jej serca. Wraz z mężem, lekarzem przy Sekretarjacie Stanu do spraw Królestwa Polskiego, zajęła się opieką nad licznymi rozbitkami powstania, którzy na Petersburg i Finlandję uciekali przed szubienicą i katorgą za granicę, co w ówczesnych warunkach nie było ani łatwem ani bezpiecznem.

Kółko ich najbliższych znajomych stanowili: Sierakowski, wódz powstania na Litwie, który zginął na szubienicy w Wilnie, Józefat Ohrysko, wydawca „Słowa", pierwszej gazety polskiej w Petersburgu, zesłany do ciężkich robót na Sybir, Rechniewski, Narzymski, Spasowicz i tylu, tylu innych wybitnych patrjotów polskich.

Przez cały 37-letni pobyt nad Newą (w r. 1902 ś. p. Rymowiczowa przeniosła się z mężem do Warszawy) dom ich był ogniskiem polskości. Tutaj młodzież odbywająca studja w Petersburgu znajdowała pełną miłość, opiekę i pomoc. Tutaj gromadziła się inteligencja kolonji polskiej.



Bronisława Rymowiczowa

Wciągu długiego swego żywota ś. p. Rymowiczowa doznała wiele radości i zasłużonego szczęścia, ale też wiele smutków i cierpień ogólnych i osobistych. W r. 1908 straciła ś. p. Rymowiczowa męża, w r. 1906 syna Feliksa, wybitnego okulistę, a w r. 1924 córkę Zofję, znaną działaczkę społeczną i filantropijną. Ciężkim również ciosem dla zmarłej była śmierć ukochanego wnuka Stefana Szyllera, porucznika szwoleżerów, poległego w obronie Wilna.

Otoczona miłością swych dzieci, wnuków, prawnuków i licznych przyjaciół, pełna zawsze żywotności umysłu i wrażliwości na wszystko, co w Polsce się działo, ta wzorowa córka kościoła i ojczyzny zmarła 1 grudnia 1926 r. Po kilku tygodniach wzmagającego się osłabienia, zasnęła snem wiecznym, bez cierpień, z całą pogodną świadomością kresu swego długiego, bo 87-mio letniego żywota, pozostawiając głęboki żal wśród tych co ją kochali i czcili.

Międzynarodowa wystawa sanitarno-hygieniczna w Warszawie

W końcu maja i w pierwszych dniach czerwca b. r. odbędzie się w Warszawie IV międzynarodowy kongres medycyny i farmacji wojskowej. Ideja organizowania tego rodzaju kongresów zrodziła się tuż po wojnie, która przekonała dowodnie najszersze koła, jak pierwszorzędną doniosłą wagę posiada pomoc lekarsko - sanitarna. Postanowiono zatem odbywać kongresy stale w dwuletnich odstępach, dotychczas odbyły się one już dwukrotnie. W Brukseli, Rzymie i Paryżu. Na ostatnim kongresie paryskim w r. 1925 zgłosiło kilka państw propozycję odbycia następnego kongresu w ich stolicach; dzięki poparciu Francji i aljantów zapadła decyzja wyboru Warszawy, jako miejsca IV kongresu medycyny i farmacji wojskowej.

Za wzorem Paryża polski komitet kongresu postanowił urządzić w łączności z nim międzynarodową wystawę sanitarno - hygieniczną, pragnąc z jednej strony przedstawić fachowym reprezentantom zagranicy to, co posiada i osiągnęła odrodzona Polska w zakresie hygieny w najszerszym znaczeniu, jak również w dziedzinie tych wszystkich przemysłów, które mniej lub więcej związane są z hygieną — z drugiej strony zaś pragnąc dać możność przedstawicielom handlu i przemysłu, ożywionym inicjatywą i duchem przedsiębiorczości, zapoznania szerszych kół kraju i zagranicy z postępami swej wytwórczości oraz nawiązania bezpośrednich stosunków z nowemi kołami odbiorców. W ten sposób wystawa posiadać będzie podwójny dydaktyczny charakter: pokazowo informacyjny i przemysłowo-handlowy.

Chociaż organizowana w związku z wojskowym kongresem i przy bardzo wybitnym udziale wojska wystawa mieć będzie mimo to charakter cywilny, a do komitetu organizacyjnego i wykonawczego zaproszono cały szereg cywilnych osób, jako to lekarzy, hygienistów i działaczy społecznych, osób zaszczytnie znanych ze swej pracy lekarsko - hygienicznej na terenie Warszawy i Rzeczpospolitej.

O cywilnych charakterze wystawy świadczą przedewszystkiem działy, jakie będzie obejmować. Po za działem pierwszym wojskowo-sanitarnym, mającym z natury rzeczy zobrazować urządzenie czysto wojskowe z zakresu wyekwipowania sanitarnego, środków transportowych, hygieny polowej i wyekwipowania przeciw gazowego (gdzie zresztą także nie braknie miejsca na eksponaty cywilnego przemysłu), niemal wszystkie inne działy mają tylko luźny lub pośredni związek z wojskowemi sprawami, a w ogromnej swej większości są poświęcone cywilnej hygienie, lecznictwu i organizacji sanitarnej. Do tych działów należą działy naukowo-szpitalny i chemiczno-farmaceutyczny, obrazujące postępy i zdobycze wiedzy w lecznictwie, szpitalnictwie i chemji farmaceutycznej; dalej dział urządzeń sanitarno-hygienicznych, mający dać obraz nowoczesnego miasta, wreszcie dział przyrządów, narzędzi i przyborów lekarskich i dentystycznych, które są już działami o charakterze czysto przemysłowym i handlowym.

Jak z powyższego widać, wystawa jest zamierzona na bardzo szeroką skalę, jest rozległym terenem, na którym zaprodukować się mogą i przed zagranicą i przed własnem społeczeństwem zarówno rząd, jak samorządy, jak instytucje lecznicze i społeczne, jak wreszcie przemysł w zakresie bardzo licznych dziedzin swej wytwórczości.

Rozumiejąc znaczenie i doniosłość takiej wystawy, sfery rządowe okazały już wielkie nią zainteresowanie, a prawie wszystkie ministerstwa przyjmą w niej czynny udział. Tak więc z ramienia ministerstwa spraw wewnętrznych wystąpi Generalna Dyrekcja służby zdrowia z pokaźną ilością eksponatów; ministerstwo kolei przedstawi między innemi typy wagonów sanitarnych i organizację przewozu chorych; ministerstwo robót publicznych ma możność pokazania wzorowego rozplanowania i rozbudowy miast i t. p.; ministerstwo pracy i opieki społecznej bierze również żywy udział w wystawie i t. p.

Szerokie i wdzięczne pole do przedstawienia swej pracy w dziedzinie sanitarno - hygienicznej otwiera się przed naszemi samorządami, specjalny bowiem dział wystawy poświęcony jest planom i modelom zabudowania miast i osad, domom mieszkalnym i domom robotniczym, zaopatrzeniu miast w wodę, assenizacji miast, oświetleniu, ogrzewaniu, systemom dezynfekcyjnym, kąpieliskom i łaźniom publicznym, hygienie produktów spożywczych i t. p.

Nie mniej rozległe pole do popisu zyskuje w wystawie nasz przemysł. Na pierwszy plan wysuwają się oczywiście z charakteru wystawy przemysły chemiczno-farmaceutyczne i przemysły, wytwarzające narzędzia lekarskie i dentystyczne. W tej dziedzinie produkcja polska jest wcale obfita, pod wieloma względami bardzo interesująca, świadcząca o dużej inicjatywie i przedsiębiorczości, odznaczająca się solidnością. Więc te przemysły będą mogły stanąć na wystawie z poczuciem własnej wartości do współzawodnictwa z zagranicą, a co z tego zakresu poznają u nas zagraniczni goście, z pewnością nie przyniesie nam wstydu.

Ale i szereg innych przemysłów powinien żywo zainteresować się wystawą. Więc w pierwszym rzędzie te i owe gałęzie przemysłu, produkującego na potrzeby wojska przedmioty służące celom sanitarnym i celom hygieny, dalej producenci przyrządów i narzędzi dezynfekcyjnych, urządzeń kąpielowych, maszyn i przyrządów do prania, do odkurzania mieszkań i odzienia, producenci sprzętu szpitalnego i t. p., słowem poszczególne gałęzie i przemysłu metalurgicznego i włókienniczego i skórzanego i drzewnego i innych.

Własny, dobrze zrozumiany interes powinien nakłonić przedstawicieli tych przemysłów do jaknajżywszego współudziału w wystawie. Nie należy przecież zapominać, że do uczestnictwa w kongresie zgłosiło się już 40 państw i że komitet oczekuje przybycia znacznej ilości delegatów z zagranicy. W ten sposób przemysł nasz zyskuje niezwykle korzystną okazję zaprodukowania swej wytwórczości najbardziej powołanym do oceny zagranicznym fachowcom, zdobycia w oczach całego świata należnej mu i dobrze zasłużonej opinji. Zarówno kongres jak i wystawa wzbudzą też niewątpliwie duże zainteresowanie w szerszych kołach miejscowych, zajmujących się sprawami sanitarno - hygienicznemi. Dzięki temu wystawa stanie się dla przemysłu terenem do nawiązania także handlowych stosunków z nowemi kołami odbiorców lub zapoznania dotychczasowej klienteli z postępami wytwórczości tych czy innych gałęzi przemysłu. Są to wszystko względy, które powinny być wzięte pod pilną rozwagę.

Wystawa ma być przeglądem

własnych sił i pokazem pracy odrodzonej Polski przed zagranicą. Tak więc jak przemysł dla własnego interesu, tak znów samorządy, instytucje społeczne i t. p. powinny poprzeć ją wydatnie i energicznie w interesie narodowym. Dzisiaj kiedy zagranicą krążą o Polsce tak liczne i tak sprzeczne z prawdą opinje, dzisiaj nie wolno nam lekkomyślnie pominąć okazji, by dużemu gronu wybitnych zagranicznych specjalistów pokazać naocznie, jak naprawdę wygląda Polska choćby w tej jednej dziedzinie sanitarno-hygienicznej. Miasta polskie powinny w całej pełni docenić doniosłe znaczenie wystawy i okazać jej należyte poparcie. Może ono wyrazić się zarówno udziałem w samej wystawie, zwłaszcza o ile chodzi o dział miejskich urządzeń sanitarno - hygienicznych, jak i poparciem przez odpowiednie subwencje czy to niektórych instytucji miejscowych, czy nawet poszczególnych prywatnych producentów, którzyby powołani byli do udziału w wystawie, a sami nie posiadają potrzebnych zasobów finansowych, by ponieść koszta opłaty stoisk i transportu eksponatów. Nie można wątpić, że samorządy nasze, zawsze ofiarne i gorliwe, gdy chodzi o ogólne cele, nie zaniedbają i tym razem swego obowiązku moralnego.

Wreszcie powinna wystawa obudzić również zainteresowanie w szerokich kołach społeczeństwa. Będzie to jeden z dość rzadkich naszych popisów na międzynarodowej arenie, a więc wszyscy przyłożyć winni pomocną rękę, by wypadł dla nas jaknajkorzystniej. Bo słusznie powiada przysłowie: jak cię widzą, tak cię piszą.

St. S.

Anegdoty

Jednym z najbardziej znanych towarzysko ludzi w Warszawie przed trzydziestu laty był p. R., bankier.

Na reducie zaczepiają go dwie maski, różowa i zielona. Zielona bierze pana R. pod ramię i zapytuje:

— Powiedz, która z nas jest młodsza: ja, czy ona?

— Żadna nie jest młodsza — odpowiada p. R. — obydwieście kucharki.

Z tego wynikało, że i przed trzydziestu laty wytworność djalogów maskaradowych w naszej stolicy nie zawsze stała na poziomie Wersalu. Lubimy się powoływać na lepsze minione czasy, zapominając im wszystko złe i upiększając zgasłe oddawna przywary.

. . . .

Jedno z powiedzeń Tristan Bernarda:

— Lepiej wcale nie myśleć, niż myśleć nie dosyć.

. . . .

Na uroczystym obiedzie, który wydano z powodu setnych urodzin pani Boussenard, matki zmarłego literata, przemawiał senator Marceli Donon.

— Dobra pani Boussenard — mówił senator — ileż to zmian widziała pani w swojem życiu! Dawniej były dyliżanse, teraz są koleje żelazne. Jeżeli nauka mogła nas obdarzyć swemi dobrodziejstwami, to dzięki Rzeczypospolitej. Naprzykład syn pani, pani Boussenard, nieodżałowany autor tylu powieści podróżniczych i z przygodami, nie byłby nigdy napisał tych książek, gdyby Rzeczpospolita nie pozakładała wszędzie szkół. To Rzeczpospolita, dobra pani Boussenard, dała wykształcenie pani synowi.

Ale stuletnia kobieta odrzekła cichym głsem:

— Panie senatorze, mój syn urodził się w r. 1849. Wszystkie swoje studja odbył za cesarstwa.

w. p. p.

. . . .

Pierre Louys w początkach swojej karjery pisarskiej zgłosił się do Franciszka Coppée'go z prośbą o radę, w jaki sposób przeprowadzić kampanję prasową na rzecz „Afrodyty", powieści, która mu następnie przyniosła wielki rozgłos.

„Mój drogi", odpowiedział Coppée, „książki swoje trzeba przesyłać tylko pisarzom mającym poniżej lat dwudziestu i powyżej sześćdziesięciu. Ci jedynie będą o nich pisali. Między temi latami ma się tylko rywalów".

. . . .

W przedziale paryskiej kolei podziemnej Metropolitain Sacha Guitry siedzi naprzeciwko modnej „garsonki", która z wielką dezinwolturą założyła bardzo wysoko skrzyżowane nogi. Po chwili znakomity artysta, uchylając kapelusza, pyta z wyszukaną uprzejmością: „przepraszam, przypuszczam, że pani nie będzie miała nic przeciw temu, że pozostanę w spodniach?"....

brn.



TO I TO

Kilka uwag Banville'a o teatrze. Jeden z moich przyjaciół nie przepadał za teatrem. Dziennikarz ten, powziąwszy zamiar ożenienia się, pomyślał: „Żenię się z młodą kobietą, która prawdopodobnie kocha teatr. Jak ją zniechęcić do tej względnej rozrywki? Najlepiej użyję systemu cukierników, którzy sprzedającym pozwalają zjadać słodycze aż—do obrzydzenia". I przyjaciel mój podjął się krytyki teatralnej w jednem z pism. Cztery do pięciu razy tygodniowo prowadził żonę do teatru, czasem nawet w dzień na próbę generalną, a wieczorem na premjerę. Żona była zachwycona. Daremnie szukał oznak zmęczenia u swojej towarzyszki, była niezmordowana. Zapałała tak gorącą miłością, że po dwuch latach była bardziej rozentuzjazmowana do teatru, niż pierwszego dnia, a przyjaciel mój zapalił się do krytyki teatralnej.

Kiedy powinno się przestać chodzić do teatru? Gdy zaczyna się zwracać uwagę na to, że aktorzy mylą się, tracą pamięć i t. p. Jest to stan, który bym określił: gdy zaczyna się słyszeć suflera. A suflera nie słyszy się nigdy w młodych latach pełnych złudzeń. Są ludzie, którzy całe życie nie słyszeli suflera. To jest idealna publiczność.

Można bez końca dyskutować na temat, czy teatr przeżyje kinematograf. Sądzę, że dla młodzieży a nawet dla starszych, jakkolwiek doskonałe będą piękności fotogeniczne na ekranach, nigdy nie zastąpią aktorki żywej. Dziewięć na dziesięciu młodych ludzi zakochało się poraz pierwszy w aktorce podczas przedstawienia. Śnili, marzyli, wyczekiwali na ukochaną przed teatrem... Wyczekuj na artystkę z kina.

Aforyzm fotogeniczny. Nie gishuj tak na mnie oczami, już ci nic więcej nie kupię.

Gwiazda filmowa. Reżyser filmowy poszukuje pięknej kobiety do najbliższego filmu. Zjawia się młoda pani, która za wszelką cenę pragnie zostać artystką kinową. Podczas egzaminu zwraca się reżyser rzeczowo:

— A teraz proszę pokazać nogi.

Nieśmiała pani pokazuje lewą nogę.

— Niezła, a druga?

— Taka sama — , odpowiada wstydliwie pani.

— Więc angażuję panią — a do sekretarki — niech pani zanotuje, że angażuję do następnego filmu panią z dwiema lewemi nogami.

Zakład. Na pokładzie okrętu Southampton—New-York zakłada się anglik z amerykaninem, który z nich potrafi powiedzieć większe kłamstwo. Amerykanin rozpoczyna swoją opowieść od słów „Był w New Yorku pewien dżentelmen..." W tym momencie przerywa anglik: „Oto przegrana! Większego kłamstwa nie wymyślę".

* * *

— Powiedz mi, mój drogi, czy twoja żona nigdy nie przestaje mówić głupstw?

— Nie wiem, jesteśmy zaledwie pięć lat po ślubie.

* * *

— Panie! moja córka powiedziała mi, że pocałował ją pan pod brodę.

— Nie! pod wpływem alkoholu.

(h.)

Z cyklu „Żony i żonisie"

JADZIA

— Nie sprowadzaj kominiarza, przecież wiesz, że on mi oko robi. Nie masz ambicji za grosz! W każdym razie nie zostawiaj mnie samej w domu, gdy on siedzi w kominie, bo mi kiedy dosłownie spadnie z pieca na łeb. Już mi ofiarował kalendarzyk, pomyśl tylko! myśli, że można mnie kupić kalendarzem! Czekał chwilę, i smutny odszedł. Ja już wiem, o co mu chodziło...

— O złotego?

— Fe, jaki z ciebie cynik, nie wszyscy są takimi, jak ty, materjalistami. Kominiarz z pewnością stoi wyżej od ciebie.

— Gdy jest na dachu — dokończył mąż Jadzi ze złością, i wyszedł.

Jadzia usiadła. Była ona przystojna ową przystojnością nieco jakby pokąsaną przez pszczoły; pozatem kobietką, jakich dzięki Bogu nigdy nie zabraknie. To też wszyscy się w niej kochali. Ona sama zaręczała, że tak jest.

— Listonosz jest zazdrosny o mnie, dlatego mi listy chowa! — zaginął mi już list od Pyzia i list od Kitka, mógłbyś w to wglądnąć.

Na ulicy zwracała powszechną uwagę.

— Czemu się oglądasz Jadziu za tym panem? — zapytał ją mąż.

— Ażeby wiedzieć, czy on się za mną czasem nie ogląda, bo zaczyna mnie już nudzić, à la longue, to zwracanie na mnie uwagi. Do tego sklepu nie wchodźmy, proszę cię, bo tu jest ten głupi subjekt, który tak się denerwuje, jak ja wejdę, że kiedyś spadnie z drabinki, na którą wyłazi na mój widok. Zato do tego ot tu zacnego sklepiku możemy wejść. Tam wprawdzie jest kasjerka, która do mnie robi oko, ale mniejsza z tem. To już jest drobiazg.

Przechodząc w dalszym ciągu rozmowy przez ulicę, Jadzia, oglądając się za dwoma jakimiś panami, poślizgnęła się i wpadła ku wielkiemu niezadowoleniu swego męża i jej samej pod jadące auto. Szofer zdążył zatrzymać wóz i tylko wachlarz musnął niezręcznie Jadzię gestem, dalekim od gestu wachlującej się markizy.... Jadzia wstała, mocno ogłuszona, poważnie zabłocona, blada asfaltowo. Zacierając ręce, przystąpił policjant i począł pisać coś (słodki bilecik do przejechanej, naturalnie), a mąż Jadzi i szofer kłócili się (będzie pojedynek o Jadzię!). — Tłum zbierał się i otoczył szczelnie auto, Jadzię i resztę towarzystwa. Pani w limuzynie nie wiedziała, o co chodzi i rzekła niechętnie przez okno do szofera:

— „To nie tu, mówiłam wyraźnie: róg rynku i Zielonej, Apteka pod Aniołkiem".

A Jadzia, trąc sobie łokieć, tłumaczyła mężowi z tryumfem:

— „Patrz, jaki tłum się zleciał, aby na mnie patrzeć! To nieszczęście, powiem, to tragedja takie powodzenie! — Panie policjancie, niech pan to zrobi dla mnie, dla mnie, nieprawda? i zostawi tego szofera w spokoju. On nie winien, to... raczej ja... Zapatrzył się na mnie jadąc, za to nie może człowiek odpowiadać... Przebaczam mu, to nie pierwszy raz mi się zdarza, niestety. Chodź, Józiu. A na drugi raz nie mów, że blaguję o mojem powodzeniu.

Magdalena Samozwaniec

Nie będzie tancerz pluł nam w twarz...

Niestety! przy dzisiejszych tańcach jest to prawie niemożliwe! Tancerzowi przychodzi ślinka do ust na widok tancerki ubranej w kawałeczek sukni, opartej podbródkiem o jego ramię. Zaczyna rozmowę. Głośniej od grającego przez nos jazz-bandu krzyczy w twarz tancerki: „Czy pani lubi tańczyć?" „gdzie ojciec bawi obecnie?", lub coś w tym rodzaju, przyczem zwykle pluje, a tancerka na tem korzysta. Dzisiejsze tańce stanowczo nie są hygieniczne. Dawniej do tej roboty jaśnie państwo nakładali białe rękawiczki, zaś między tancerzem a jego damą była przyzwoita odległość, wypełniona szczelnie biustem tancerki. O rozmowie nie było mowy. Płynęło się po sali, na skrzydłach wiedeńskiego walca, a rozmarzony tancerz musiał mieć bardzo wyrobioną imaginację, żeby pod stalkami, haftkami i sznurowadłami domyśleć się istotnych kształtów kobiecego ciała.

Dzisiaj poczciwy a jednak (ach, jakże nieraz namiętny) walc przeszedł do przeszłości. Wprawdzie tańczy go się nieraz jeszcze na dancingach, ale tylko tak, dla hecy. Zato tańczymy wszyscy polskiego charlestona w szafliku, któregoby się nawet powstydził najbardziej ciemny i czarny murzyn. Takich „charlestonistów" miewaliśmy w Polsce i dawniej. Potrafili oni zawodzić ten piękny taniec nawet w dzień i na ulicy, ale na szczęście wówczas zabierała ich karetka Pogotowia, a matki zasłaniały ręką oczy swym dzieciom, by się nie patrzyły na takie straszne nieszczęście ludzkie.

Dzisiaj cały świat wytworny stał się bandą epileptyków, którzy już nie wiedzą, co robić z nogami. Widzimy więc na dancingach młodych żydków i starych ojców salonu z równą pasją froterujących posadzkę i patrzących w dół na własne buty, żeby się nie pomylić w trudnem i zawiłem zamiataniu. Wszystko byłoby dobrze, gdyby się naszego polskiego charlestona (do którego powinno się przyklaskiwać, jak do oberka i wołać: „z życiem panowie" lub „Oj dziś, dziś") tańczyło solo, jak to robią prowincjonalni tancerze... Tancerka stanowczo przeszkadza warszawskiemu charlestoniście. nie wie zupełnie, o czem z nią mówić, plącze mu się niepotrzebnie koło kolan, zmusza go do plucia i psuje mu tempo. Żeby uniknąć nieporozumień między tańczącymi a także z wyżej podanych względów hygienicznych, należałoby polskiego charlestona tańczyć tylko u siebie w domu, samemu przy zamkniętych drzwiach, rano zamiast ćwiczeń Mülllera. A najlepiej nastawić gramofon, wziąść na nogi szczotki i poprostu froterować podłogę. Połączy się wtedy praktyczne z brzydkiem. Zaś kilkanaście złotych, któreby się wyrzuciło na dancing, lepiej zachować na warszawskie zbiórki dobroczynne, t. zw. „kwiatki", czyli „fijoły warszawskie", o których innym razem pomówi się obszerniej.

Ppor.



KAWIARNIA

Wszystkie szały, którym ulega nasze wielkomiejskie życie, mają tę dobrą stronę, że kończą się spokojnie (patrz: historja).

Minął szał charlestona, chociaż go tańczą jeszcze w pocie czoła i Oazie, patrząc sobie wzajemnie na nogi. Wobec czego przestał być aktualnością: żyjemy w czasach, kiedy nie patrzy się sobie nawet na ręce.

Skądinąd nie można oprzeć się wrażeniu, że szał taneczny utrąciła prasa. Z ankiety w kurjerze dowiedzieli się wszyscy, że taniec jest rozrywką uszlachetniającą, umoralniającą, wyrabiającą, mięśnie i apetyt (więc nie dla linji!), że z obcymi panami tańczyć nie wypada, że nic już dowcipnego—, naprzykład: tango szy taniec Wit-osa, blues ministerjalne, trott-rządowy, walc w lewicę — powiedzieć nie można.

Z radjem jest jeszcze gorzej: wszystkie anteny się poplątały, ktoś ci kradnie głos, ktoś ci daje szum i trzask; wszystkie fale się pomięszały i łapiesz jednocześnie wzniosłe niedzielne kazanie anglikańskiego pastora, jazz z Wiednia, berliński komunikat giełdowy i „Pan nie zna Lopka?" z repertuaru Qui - pro quo. Hałas. gwar! jak w kawiarni.

Właśnie ogarnia Warszawę gorączka kawiarni. Tam, gdzie ongi były sklepy samochodowe, banki i księgarnie, na gruzach przemysłu, weksli i kultury, powstają kawiarnie. Nasi kochani rodacy ze wschodniej Małopolski mówią, że nareszcie jest „jak w Wiedniu" i nie zabierają posad (wszystkie zabrali), ale miejsca w kawiarni. Precz z lokalnym patrjotyzmem w lokalach.

Mieliśmy wprawdzie kawiarnie, ale w jednych było zimno i do domu daleko, w innych zaś rząd angielski utworzył kolonje, więc dopiero teraz mamy nowe, prawdziwe pod hasłem: „panowie są proszeni o zostawianie okryć i kapeluszy w garderobie". Niestety, nigdzie nie proszą, ażeby panowie zostawiali też twarze w garderobie.

„Gastronomja" najpierwsza na wzór i w stylu — kawiarnianym. Długa, wąska, niska, z wentylacją i bez powietrza, ale jak słusznie powiedział jeden pan na ski — to nie aluzja antysemicka, lecz sportowa — dobre i wogóle powietrze jest w Zakopanem, ewentualnie przed pomnikiem Chopina, a w kawiarni jest porter, muzyka i goście.

Najpierw przychodzi jeden gość, siada w kąciku i mówi: „pustki". Po chwili przychodzi drugi gość, przygląda się pierwszemu i mówi: „hołota". Każdy następny powtarza to samo, póki nie zostanie już tylko jeden wolny stolik. Ostatni goście dziwią się znowu, że „tyle hołoty". I już jest komplet.

„A czemu ty nie chodzisz do kawiarni?"

„Bo tam sama hołota".

„To chodź też".

Argument często przekonywujący.

Niedaleko wyrasta kawiarnia od kawiarni. „Italia". Temperatura włoska, plafon borowski — włoski, ciastka włoskie, kawa „kappucinio" (?), fizjonomje 50% włoskie, orkiestra gra po włosku.

Między stolikami krąży pan dyrektor, który niebawem obejmie wyższe stanowisko dyplomatyczne przy Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Lecz zanim wydelegują go do Locarno, na razie loco kojarzy ludzi przy stolikach. „Czy panie", zwraca się dyplomatycznie do dwuch pań, które tęsknią za miejscem, „zechcą się przysiąść?" — „Owszem", mówią panie z godnością, „ale tylko do pań". Do pań, które przysiadły się do pań, na własne żądanie, pan dyrektor nie posyła kelnera po obstalunek. Zanosi się im na trafił, nie chybił, po pół czarnej i ciastku Te nie są od melange'ów, chłodzących napojów i czekolady z pianką. Na samotnego mężczyznę — przyszedł spokojnie przeczytać gazetę — pan dyrektor nasyła trzy damy. Jedna kobieta — to anioł. Dwie kobiety — to żona i teściowa. Trzy kobiety — to nie harem, ale rozmowa w tempie stu kilometrów na minutę. Temat: lama, rozeszła się z mężem, pantofle krokodylowe, romansuje z tamtą, Dekobra, z kim? Nie doczytawszy gazety i nie dopiwszy herbaty, mężczyzna ucieka. Nie warjuje, bo ma w domu to samo. Kobiety cieszą się, zdobyły stolik dla siebie. Pan dyrektor uśmiecha się pod wąsem i dyplomatycznie: „Niektóre wolą zdobyć stolik, niż mężczyznę", mówi, jak w komedji z francuskiego.

W kawiarni gra orkiestra, ażeby było głośniej, gdy ludzie milczą i ciszej, gdy ludzie mówią. Na tem polega przewaga kawiarni z orkiestrą nad kawiarnią z samemi gazetami. Można wcale nie rozmawiać i nie ma się wtedy gupiej, znudzonej miny. Dlatego małżeństwa chętnie uczęszczają do kawiarni z muzyką. Podczas muzyki nie obowiązuje zbyt intensywny emablunek, zwłaszcza, gdy się nie ma ochoty, lub tematu. W nowej kawiarni jest temat, nawet schemat.

Pan: Tutaj jest po europejsku.

Pani: I jasno. *(dla podtrzymania rozmowy).*

Pan: Ale nieprzytulnie.

Pani: (inteligentnie) Towarzystwo, jak na imieninach u cioci.

Pan: (z godnością) Ja nie mam cioci.

Pani: (milczy. Nie podtrzymuje rozmowy, ale nie wątpi, że gdyby tu był Makuszyński, to by zapytał Pana, kto go w takim razie urodził).

Pan: (żegna się ozięble: przeczytał coś w jej myślach).

Narazie mamy dwie przepełnione kawiarnie, ale jutro będzie ich może dziesięć, a za tydzień sto.

Kawiarnia w hotelu Europejskim jest już na ukończeniu. Ściany malowane na żółty marmur, niemal malachitowe kolumny, jednem słowem, przeniesiono cerkiew z Placu Saskiego.

Król Albrecht Ziemiański, zdetronizowany przez Italię, jest chwilowo na wygnaniu we własnej małej Ziemiańskiej, tuła się od stolika (wolny) do stolika (wolny), i mobilizuje zastępy filiżanek, talerzyków, łyżeczek, wybija mury i schody; gdy zmierzch zapada, idzie cichaczem pod Italię i przygląda się swoim niewiernym. Wrócą, wrócą. A tobie powiemy: zastałeś Ziemiańską murowaną, a zostawisz ją szczerbińską. *H. Jel.*



Czarne i białe

Jak ubierają się panie w karnawale

Jeżeli sądzić po bogactwie ozdób, przepychu materjałów, różnorodności fasonów i kolorów, z jakich się składają suknie wieczorowe, bale i przyjęcia obecnego karnawału powinny być wyjątkowo barwne i wykwintne.

Toalety wieczorowe mają kilka linji: przedewszystkiem plecy nie są jednostajne, materjał przecięty przez środek lub odcięty od pasa tworzy jakby skrzydła lub bolerko. Widzimy suknie, w których biodra zaznaczone są przez hafty i wyszycia; spotykamy wyrzucane staniki, brak symetrji w fałdach zebranych z lewego boku lub z przodu; nierówny okrąg; dekolt głębszy, niż w zeszłym roku i powrót do sukien bogato naszywanych brylantami i perłami. To są główne wytyczne obecnego sezonu.

Połączenia dwóch kolorów, rzecz dominującą w modzie tej zimy, spotyka się również w sukniach wieczorowych. Często widzi się modele o staniku wyszytym i błyszczącym i spódnicy ciemnej, niczem nie ubranej; nawet w toaletach w jednym kolorze wszelkie ubrania prawie zawsze są wykonane u góry sukni albo na staniku.

Małe kawałki szkła oszlifowane, jak djamenty, aby mieć odpowiedni blask, wzbogacają tegoroczne suknie; jest to ozdoba iskrząca i okazała, należy więc dlatego unikać deseni zbyt bogatych i zawiłych, jak również ubierania niemi sukien kolorowych. Suknie wyszywane djamentami powinny być albo białe, albo czarne, lub też stanowić połączenie tych dwóch kolorów.

Wszystkie jedwabie białe i czarne, jak np. satin soie, crèpe satin, crèpe georgette, mogą być zdobione djamentami. Łącząc razem te dwa kolory, otrzymamy, — co jest cechą charakterystyczną obecnego sezonu, — piękny kontrast, który będzie złagodzony przez djamenty, przechodzące z jednego materjału na drugi.

W tym roku djamenty są niezwykle modne i zastępują perły. Hafty z djamentów są w kształcie arabesek i kokard, naszywa się pojedyńcze djamenty, albo galony.

Materjały najbardziej używane na balowe suknie są crèpe georgette, crèpe romain i niezwykle miękkie velour, poza temi — materjały sztywniejsze, jak lama i mora. Co się tyczy kolorów, najbardziej noszone są wszystkie niebieskie (od błękitnego aż do granatowego), jasno różowy i biały.

Suknie wieczorowe są przeważnie granatowe i czarne bez haftów, jedynie kwiat, broszka lub klamra przypięta na boku lub ramieniu tworzą jaśniejszą plamę, ręce obnażone, małe spiczaste lub kwadratowe wycięcie; taki jest ich przeciętny wygląd. Bardzo często suknie wieczorowe ubierane są frendzlą lub koronką.

Długie frendzle z kordonka jedwabnego zostały wprowadzone w zeszłym roku i zapewne przez dłuższy czas będą modne, bo odpowiadają linji, jakiej każda kobieta poszukuje, wyszczuplają i wydłużają postać i w tańcu pięknie harmonizują z całą sylwetką.

Na wieczorowe suknie bardzo nadaje się koronka, gdyż jest powiewna, lekka i niezbyt strojna. Elegancja tych sukien polega jedynie na umiejętnem waplikowaniu koronki do materjału. Zawsze materjał — przeważnie crèpe georgette, jest tego samego koloru, co koronka. Czasami tylko staniczek koło szyi jest z cielisto-różowej georgetty, aby sztucznie powiększyć dekolt, ale to już wyklucza wszelkie inne ubrania, jak naprzykład duże kwiaty lub też brylantowe spięcia. Chociaż noszone są suknie koronkowe w różnych ciemnych kolorach (czerwone, fioletowe, zielone...), koronka jest jedynie ładna czarna albo w dopiero co teraz wprowadzonym odcieniu, jaki zaczynają nosić — jasno granatowym. Kolor ten tak wytworny, dotychczas był używany na kostjumy, płaszcze i suknie spacerowe, ale niesłusznie, gdyż przy sztucznem świetle ma połysk i blask wprost nieoczekiwany. Dużo pań woli granatową koronkę niż czarną zawsze jednak modną, chociaż mniej twarzową.

Skromniejsze suknie wieczorowe są zrobione z nowego materjału; jest to jedwab broché; na matowym jedwabiu drobny deseń srebrny lub miedziany. Suknie z tego materjału są bardzo skromne i proste, zrobione tak, jak suknie ranne.

Płaszcze do sukien wieczorowych są zwykle proste z ciemnych aksamitów, w kolorze sukni, wykończone ciemnem futrem. Cape'y i płaszcze balowe są obszerne z veloure'ów ciemno niebieskich, szaro srebrnych, czerwonych; całe wymarszczone, zafałdowane, wyszyte brylantami, perłami, zahaftowane złotem lub srebrem. Szerokie, fantazyjne rękawy, oszyte zarówno, jak kołnierze i przody, szaremi lisami, popielicami lub nurkami.

Pantofle do sukien wieczorowych są zrobione z błyszczącego atłasu, szarego, beige lub czarnego; do balowych toalet nosi się natomiast obuwie ze srebrnej i złotej lamy. Obcasy są bardzo wysokie, pantofelki są zapięte na wązki paseczek, noszone są również i czółenka, ale w tańcu nie są zbyt wygodne, gdyż spadają z nóg. Pończochy muszą być zastosowane do pantofli, a więc srebrne, beige i złoto-żółte.

To wszystko wydaje się szablonem i to w dodatku mało urozmaiconym, jednak suknia nabiera swoistych cech, zależnie od tego, kto ją nosi. I chociaż pozornie wszystkie suknie są jednakowe, to przecież tylko od indywidualności pani zależy, aby wyglądać niebanalnie.

Ir.



Pani Miazziowa walczy wśród lodu i śniegu



Startują Miazzio i Pigułowski

Notatki literackie

BIBLJOFILSTWO-PASJA

Najszlachetniejszą z pasji ludzkich jest bibljofilstwo. Rzadko spotyka się też zapewne dlatego ludzi miłujących piękne druki. Szczególnie po wojnie zaginął ten rodzaj zamiłowań kulturalnych. Inteligencja nasza została zdeklasowana. Kto pasji książkowej poza inteligencją teraz hołduje? Powojenni bogacze w najlepszym wypadku zakupują bibljoteki na metry, jeżeli doradca ich, urządzający mieszkanie, zażąda tego szczegółu dekoracyjnego, do ozdoby wnętrza. Przeważnie jednak nie kupuje się książek wcale; bibljofilstwo więc nawet najprymitywniejsze jest dezyderatem, o którem będzie można mówić po restytucji ogólnych podstaw życia kulturalnego.

Przyjemnie jest jednak wspomnieć, iż mieliśmy ludzi, których troska o książkę wystawia piękne świadectwo naszej kulturze. Kto nie pamięta nazwiska biskupa Józefa Andrzeja Załuskiego? Bibljoteka jego jest skarbem, o który przez wszystkie lata niewoli politycznej kołataliśmy w Petersburgu. Stanisław August był również miłośnikiem ksiąg. Król popierał drukarzy Groella, Dufoura, specjalnie interesując się pięknemi drukami. Bibljoteki Zamoyskich, Czartoryskich, Działyńskich, Ossolińskich, Baworowskich, Raczyńskich, Krasińskich —to dowody, że stare rody magnackie znajdowały dla ksiąg odpowiedni pietyzm.

Polska demokratyczna zaznaczyła się prawie tylko pokaźniejszym zbiorem ksiąg ś. p. Jana Kasprowicza. Ten syn ludu, wielki poeta i obywatel, gromadził swoje białe kruki wydawnicze za cenę chleba powszedniego. Nazwisko jego i w tej szlachetnej pasji zbierania ksiąg wartościowych wysuwa się na czoło naszej kultury. Kasprowicz nie był człowiekiem dobrze sytuowanym ani zamożnym, a jednak potrafił zgromadzić i skolekcjonować pokaźną ilościowo i jakościowo bibljotekę. Byłoby stratą dla naszej kultury, gdyby zbiór ten miał zaginąć. Teraz czuwa nad nią żona twórcy „pieśni wieczornej". Warto pomyśleć o przyszłości tych zbiorów. Z racji tej na II-gim zjeździe bibljofilów polskich p. Zdzisław Dębicki, znany poeta, wygłosił ciekawy referat p. t. „Kasprowicz, poeta — bibljofil". Był to hołd, złożony cieniom wielkiego poety i miłośnika książki. Odczyt ten ukazał się w druku. Jest to unikat, gdyż wydano go zaledwie w 500 egzemplarzach.

Może książka ta zwróci uwagę czynników miarodajnych na bibljotekę Kasprowicza? Może obudzi szlachetną pasję miłości książek.

F.

Z dziedziny kosmetyki leczniczej

Buzie, o skórze tłustej, błyszczącej prócz zwykłego rannego i wieczornego umycia o którym wspominałem w zeszłym numerze — powinny wieczorem myć się od czasu do czasu w wodzie dobrze mydlanej poczem, spłukiwać w 3 razy zmienianej wodzie ciepłej; przyczem do pierwszej miednicy dobrze jest dodawaćsody (łyżkę na miednicę), lub też z gotowych preparatów „Mollette". Po umyciu zaleca się przetrzeć skórę wacikiem zmoczonym w jakimś spirytusie rozcieńczonym np. „spirutusu 60° — 100,0 kwasu salicylowego 1,0; Glycedyny kropli 3, i perfum 5 kropli lub też z gotowych np. „Filodermina" albo „Spirytus salicylowy" Malinowskiego. Nieźle też działa: „wody różanej 100,0; boraksu 1,0; gliceryny 3 krople i dobrych perfum 5 kropli". lub też białko z sokiem cytrynowym. Po przetarciu płynem na dzień powinno się przed pudrem nasmarować bardzo lekko skórę buzi kremem o składzie np. następującym: Nalewki benzoesowej 0,2; boraksu 0,4; Lanoliny 6,0; olejku z migdałów słodkich 6,0; wody z kwiatu pomarańczowego 6,0; gumy arabskiej 0,1; i talku taką ilość, jaka niezbędną jest, by po dodaniu otrzymał się krem". Z gotowych preparatów wymienić mogę „Abarid". O ile skóra jest zbyt tłustą lub też poddaje się zabiegom podobnym z trudem należy podejrzewać przyczynę głębszą i takową przedewszystkiem usunąć. O ile zaś skóra zacznie robić się suchą lub też nawet łuszczyć— zabiegi (umycia i nacierania) powyższe należy zaniechać i chwilowo przystąpić do zabiegów jakie stosuje się przy skórze suchej.

Warszawa *Dr. med. Feliks Roskowski*

Humor francuski

— Ile jest sakramentów? — zapytuje ksiądz proboszcz młodego chłopca.

— Sześć, proszę księdza — odpowiada malec.

— Mylisz się, chłopcze, jest ich siedem.

— Tak było dawniej, księże proboszczu, ale teraz jest już tylko sześć. Tatuś powiedział, że Małżeństwo i Pokuta — to jeden sakrament.

W klubie.

— Dowidzenia —, żegna się L. ze swoim przyjacielem.

— Już odchodzisz?

— Idę do teatru z przyjaciółką.

— I nigdy nie dałeś czekać kobiecie.

— Czasem..... na upominek.

(h)

HUMOR ZAGRANICZNY



— Ja sądzę, że to kobieta!

— Nigdy w świecie! Czyż nie widzisz, że ma długie włosy!

Dessin de Dupin

NAJWAŻNIEJSZE WYPADKI MINIONEGO TYGODNIA

SEJM I RZĄD

Mowa ministra Zaleskiego o stosunkach polsko-niemieckich, wygłoszona przy okazji otwarcia Tow. Badań Międzynarodowych, wywołała w całym politycznym świecie duże wrażenie. Z wyjątkiem niemców, podrażnionych polską stanowczością, zagranica wita ją naogół z uznaniem.

Projekt utworzenia ministerstwa poczt i telegrafów w drodze rozporządzenia p. Prezydenta Rzeczypospolitej uchwaliła Rada ministrów. Dotąd o ten zakres działania kompetowały trzy ministerstwa.

Nowy poseł polski w Moskwie p. Patek objął już stanowisko. Prasa moskiewska obiecuje sobie poprawę stosunków ekonomicznych między Polską i sowietami.

Sejmowa komisja budżetowa zakończyła swe prace. Budżet w jej sformułowaniu wejdzie pod obrady plenum Izby zaraz po ogłoszeniu go drukiem.

Nad sprawą więzienia gen. Rozwadowskiego obradował Senat rzeczowo i taktownie, poczem przedstawił rządowi do uwzględnienia petycje lwowskie o uwolnienie generała.

Trzej posłowie białoruscy: Taraszkiewicz, Wołoszyn i Michajłowski zostali aresztowani w Wilnie pod zarzutem przeciwpaństwowej działalności. Minister sprawiedliwości zgłasza do Sejmu wniosek o wydanie ich sądom.

SPRAWY POLSKIE

Organizację wywrotową komunistyczną, rozgałęzioną szeroko w Polsce, wykryły władze. Na prowincji i w Warszawie dokonano licznych aresztowań. Dalsze śledztwo w toku.

Wizyta p. Colbana na Górnym Śląsku rozczarowała niemców, bo chce on jedynie zbadać na miejscu zagadnienie mniejszości, a nie zajmuje się wcale zażaleniami i skargami.

Prezydent Reichstagu Loebe oświadczył w Gdańsku, że żaden poważny niemiec nie myśli o wrogiej akcji przeciw Polsce i że kwestje sporne mogą i muszą być załatwione pokojowo. W tym samym duchu przemawiał także podczas pobytu w Łodzi.

POLITYKA ZAGRANICZNA

Rokowania w sprawie twierdz niemieckich toczą się dalej w Paryżu. Wywody Pawelsa nie zyskały uznania, a prasa domaga się, by Konferencja Ambasadorów rozstrzygnęła kwestję.

Próba utworzenia gabinetu niemieckiego przez ludowca Curtiusa zawiodła wskutek zasadniczej opozycji centrum.

Misję utworzenia gabinetu Rzeszy podjął dr. Marx. Głównym szkopułem jest chęć utrzymania w rządzie Gesslera, b. ministra obrony krajowej, na którego lewica bezwarunkowo się nie godzi.

Rozwiązanie Sejmu Rzeszy i nowe wybory wydają się jedynem możliwem wyjściem z przesilenia politycznego w Niemczech.

Częściowe wybory do senatu francuskiego zapewniły lewicy nieznaczny sukces, nie wystarczający jednak do utworzenia w Senacie lewicowej większości.

Konflikt amerykański zaostrza się. Stany wysłały znaczniejsze siły wojskowe do Nicaragui; Meksyk gromadzi swą armję na granicy. Usiłowania rozjemcze dotąd zawodzą.

Na wody chińskie odpłynęła angielska eskadra. Inne mocarstwa również powiększają swe siły morskie, doceniając powagę sytuacji.

Redaktor odpowiedzialny St. KRZYWOSZEWSKI

Druk GALEWSKI i DAU, Warszawa